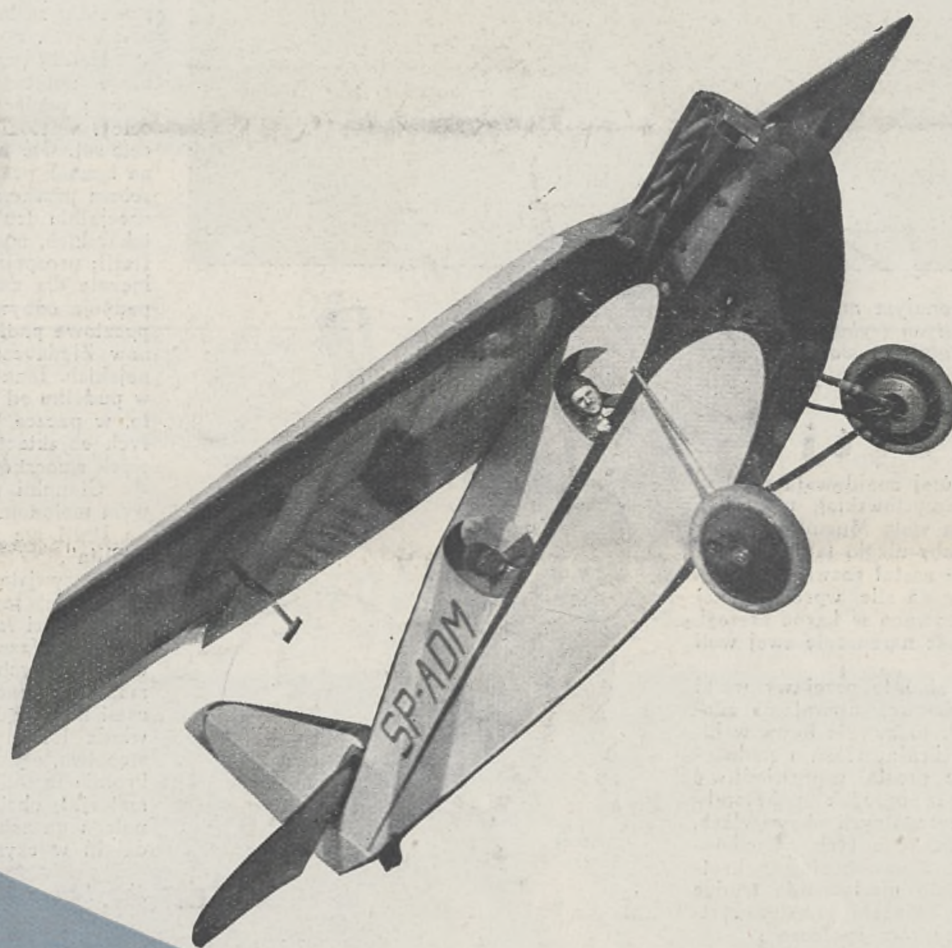
ROK II. Nr. 20 (69) Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. 18 maja 1930 r.

7 DNI

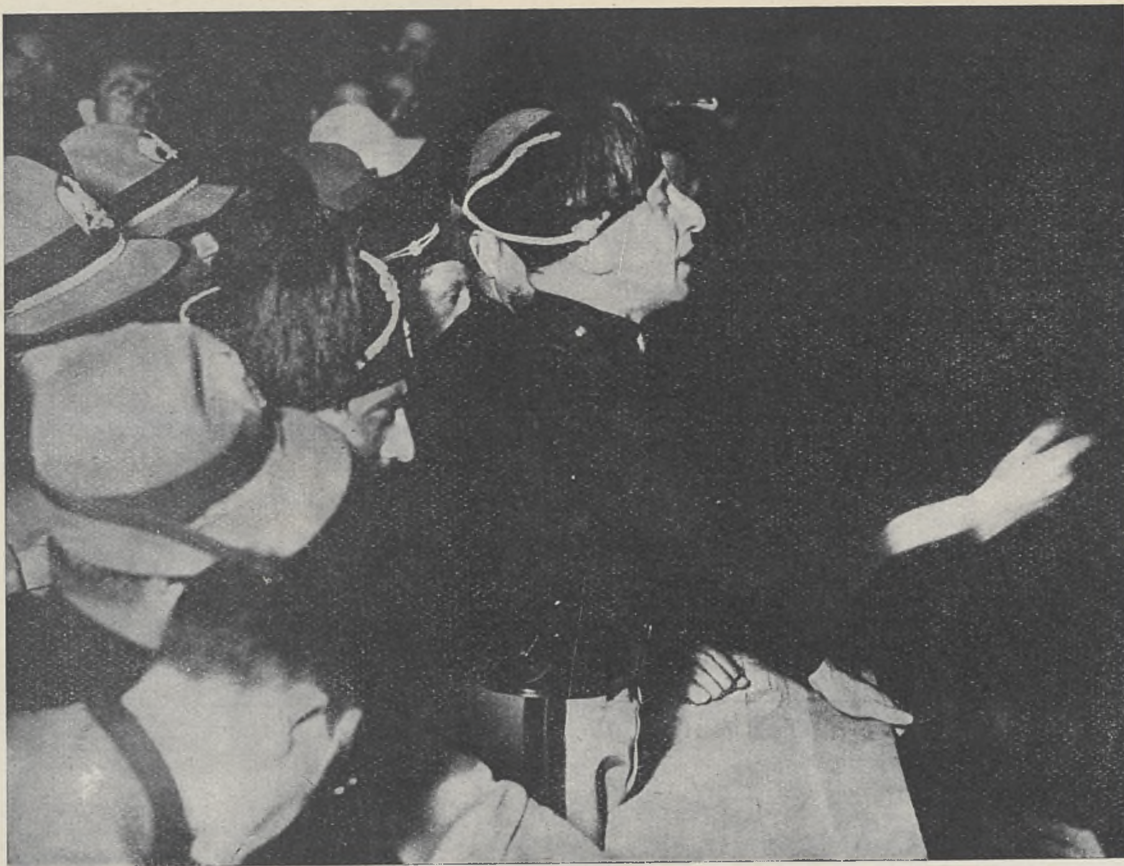
CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Polska awjonetka R. W. D. 4, która weźmie udział w międzynarodowym locie dokoła Europy. (Photoplat).



Mussollini, jak wiadomo, jest doskonałym mówcą. Żaden z tricków, używanych przez znakomitych trybunów, nie jest mu obcy, to też z łatwością potrafi zainteresować największe tłumy słuchaczów.

Fuorusciti

Bezstronna ocena sytuacji, w której znajdowała się Italja w chwili wybuchu rewolucji faszystowskiej, utwierdza nas w przekonaniu, iż gdyby żelazna wola Mussoliniego nie porwała do czynu mas, państwo byłoby uległo fali komunizmu. Dylemat — być, albo nie być — został rozwiązany jednym gestem, nowa władza oparła się na sile, wprowadzonej przez mniejszość może, lecz zorganizowaną w karne szeregi, drogą t. zw. akcji bezpośredniej, przez narzucenie swej woli większości.

Trudno jest, oczywiście, wychwalać te przejawy walki o władzę, zwłaszcza w epoce przejściowej, utrwalania zdobyczy akcji bezpośredniej, która, jak to zwykle bywa w historji, nieodłączna jest z pewnemi skrajnościami i nadużyciami. „Giovinezza" nie może, rzecz prosta, usprawiedliwić tych nadużyć, które, powiedzmy bez ogródek, pokrywały gwałty, popełniane nietylko na poszczególnych obywatelach, ale nawet zbiorowe masakry. Opanowanie tych odruchów, zdziczenia, krańcowego rozwydrzenia, a nawet, niejednokrotnie, premedytowanej zbrodni, — było niesłychanie trudne do spełnienia, gdyż w ogniu walki należało przedewszystkiem budować od podstaw cały program społeczny. I oto walka dochodzi do kulminacyjnego punktu. Cała Italja wre na wiadomość o ponurej sprawie Matteotiego. Cały naród budzi się z uśpienia i staje do walki — po tej, czy po tamtej stronie, grad zarzutów spada na Mussoliniego i jego wyznawców. Położenie staje się krytycznem. „Il Duce" zachwianym... Lecz nie. — Silna wola i gromkie hasło, rzucone na cały kraj: „Wszystko, byleby Italja była wielką..." zjednało dyktatorowi nowych rekrutów. Sytuacja została opanowana.

Pisząc te słowa nie mam bynajmniej zamiaru bronić metod Mussoliniego, gdyż chodzi mi jedynie o zarysowanie tła, na którem rozwinęła się działalność opozycji, t. zw. *fuorusciti*, zmuszonych do ucieczki i osiedlenia się zagranicą. A zresztą przyznać należy, że obok skrajności, które wywołała walka o władzę, równie szybko postępowała budowa nowego systemu społeczno-politycznego, stanowiącego dziś o potędze i dobrobycie współczesnej Italji. W miarę zaś, jak następowała normalizacja podstaw życia państwowego, nadużycia, które budziły w pierwszych czasach faszyzmu, słuszne zresztą oburzenie, poczęły zanikać. *)

Walka jednak o władzę trwa w dalszym ciągu. Ostatnio opublikowane na łamach prasy francuskiej rewelacje jednego z najczynniejszych opozycjonistów, niejakiego Gianniniego, rzucają wiele ciekawego światła na metody, któremi operują oba obozy.

Autor tych rewelacyj jest redaktorem i wydawcą pisma „Il Becco Giallo" („Żółty dziób") i od trzech lat pracuje na gruncie paryskim.

*) Patrz ciekawe i źródłowe studjum prof. A. Peretiatkowicza p. t. „Państwo faszystowskie".

Pismo to zostało założone w r. 1923 w Rzymie i w szybkim czasie osiągnęło rekordowy nakład 450.000 egzemplarzy. W r. 1926, podczas fali nowych walk faszystowskich, uległo losowi wielu wydawnictw opozycyjnych — spustoszeniu lokalu redakcyjnego, spaleniu nakładu i zakazowi dalszego publikowania. Giannini uciekł zagranicę i na nowo rozpoczął wydawanie swego pisma. Format jego wynosi 29 cm. na 22 cm., waga — 11 gramów, a to celem przemycania go do Italji wbrew wszelkim obostrzeniom cenzury, jak również dla uchronienia od represyj osób, u którychby było znalezione. Mając na względzie konieczność zmylenia śladów, Giannini załatwia ekspedycję owego pisma drogami okólnemi, rozsyłając części nakładu do korespondentów swoich, osiadłych w Belgji, w Holandji, w Niemczech, a nawet w Stanach Zjednoczonych i w Argentynie. Skomplikowana ta metoda wymaga ogromnej czujności ze strony Gianniniego i jego spólników, wszyscy bowiem pozostają pod ustawiczną obserwacją tajnych agentów faszyzmu, rozsianych po całym świecie. Żadna więc z ekspedycyj nie jest załatwiana według tego samego klucza, to też adresaci, otrzymujący „Becco Giallo" w Italji, odbierają przesyłki za każdym razem z innego źródła i w odmiennem opakowaniu.

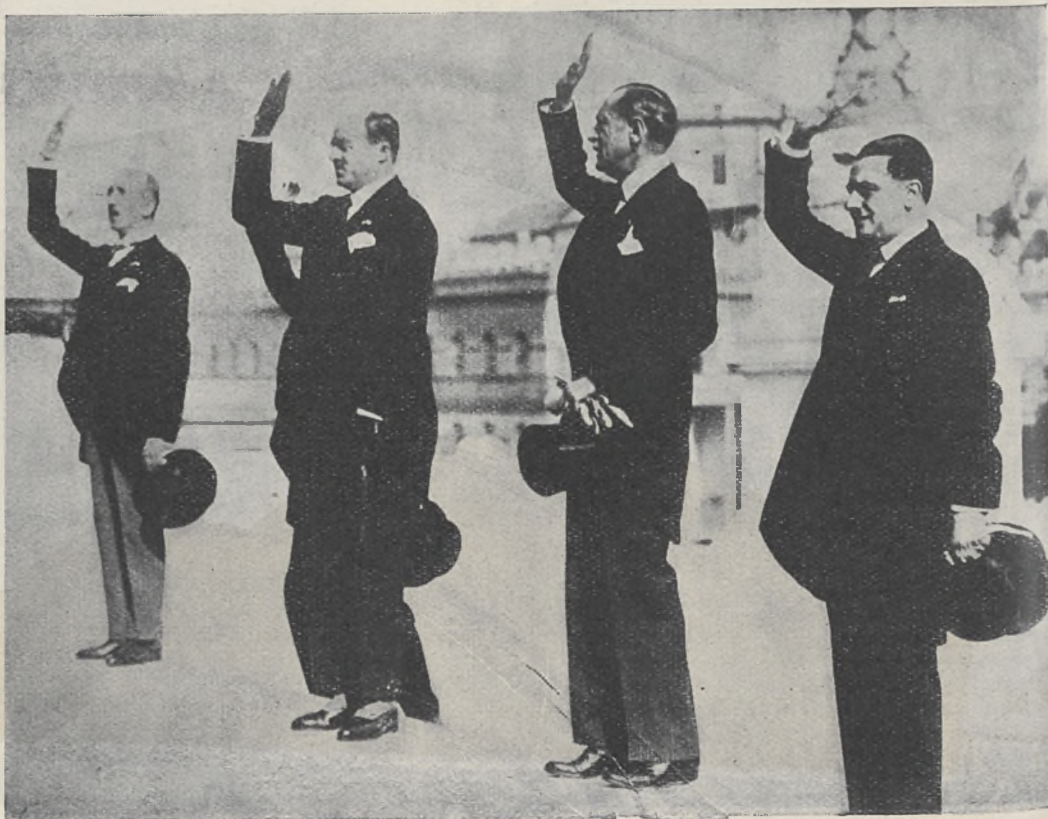
Należy przypuszczać, iż objaśnienia Gianniniego, dotyczące techniki ekspedycji, które powtórzę poniżej, są również wybiegiem, użytym celem zmylenia czujności italskiej cenzury pocztowej. Oto bowiem sprytny wydawca wyznaje na łamach prasy francuskiej, iż najlepszym sposobem przemycenia pisma jest załączenie go do specjalnie drukowanych w tym celu reklam aptekarskich, rozsyłanych pod adresem lekarzy w Italji; prospekty finansowe przeznaczone są wyłącznie dla znanych finansistów, przyczem ekspedycja odbywa się nie z Francji, gdzie urzędy pocztowe podlegają stałej obserwacji, a ze Stanów Zjednoczonych lub z różnych stolic europejskich. Inna metoda polega na ukryciu pisma w pudełku od sardynek, w opakowaniu od mydła, w paczce herbaty, a nawet w tak niezwykłych objektach, jak np. w asortymencie gumowych smoczków dla niemowląt.

Giannini twierdzi, iż dzięki tym pomysłowym metodom wysyłki udaje mu się przemycać do Italji nie mniej 25.000 egzemplarzy „Becco Giallo".

Oczywistą jest rzeczą, iż sprawa bibuły opozycyjnej jest zaledwie drobnym fragmentem działalności *fuorusciti*. Nic też dziwnego, że organizacja faszystowska pilnie śledzi każdego z wybitniejszych emigrantów. Nie mając często możności sparaliżowania ich akcji poza granicami kraju, gdyż wymagałoby to współdziałania władz lokalnych na zasadzie dowodów przestępstwa, agenci faszystowscy operują niejednokrotnie metodami prowokacji, usiłując stworzyć materjał, obciążający emigrantów; inna metoda polega na zachęceniu *fuorusciti* do przyjęcia udziału w czynnem wystąpieniu na terytorjum



Karykatura Mussoliniego, jakich nie mało ukazuje się na całym świecie.

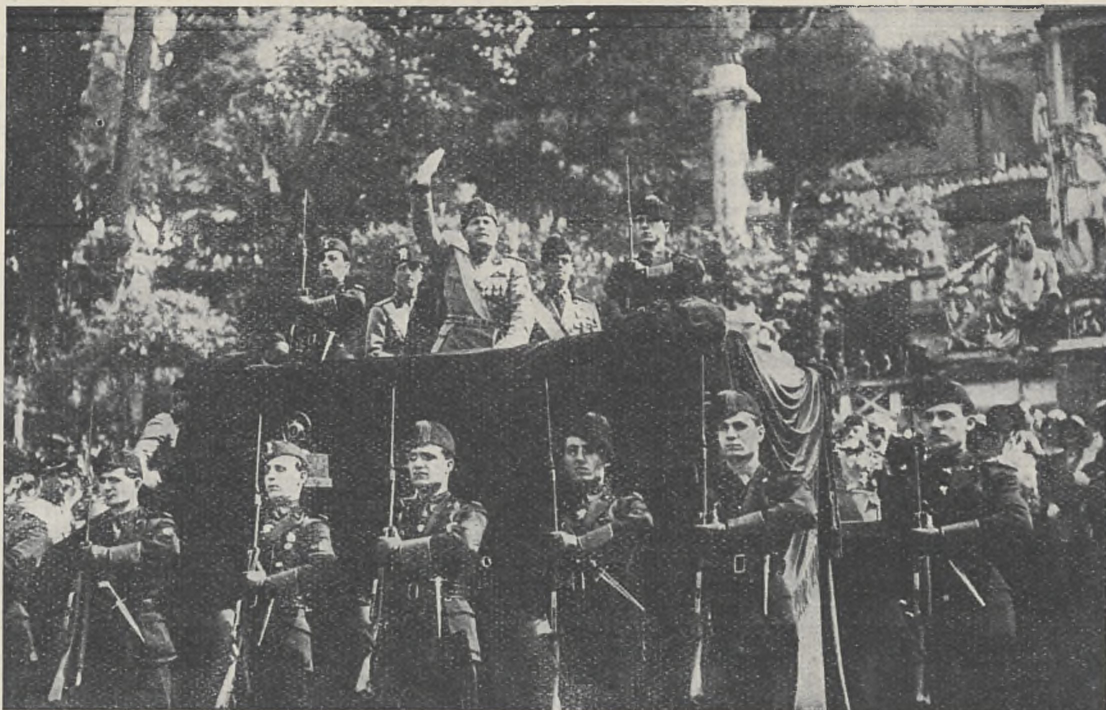


Nietylko „czarne koszule", ale i wytworne żakiety przestrzegają formy faszystowskiego ceremonjału powitalnego.

Italji, gdzie, oczywiście, podlegają natychmiastowemu aresztowaniu.

Nie mam zamiaru cytowania nazwisk i faktów, podanych do wiadomości publicznej przez Gianniniego, gdyż trudno jest doprawdy stwierdzić — pamiętamy wszak działalność ochrany rosyjskiej — kto jest faktycznym winowajcą, a kto ofiarą, lub, co również się zdarza w podobnych wypadkach, podwójnym, a nawet potrójnym agentem i na czyją korzyść.

Fuorusciti, twierdzą, powołują się tym razem na innego autora, niejakiego Gaetano Salvemini — iż głośna w swoim czasie sprawa Riciottiego Garibaldiego, który zeznał, że był agentem faszystowskim (a jak się później okazało — i francuskim), zosta*ła* prowadzona w tym celu, aby pod pozorem wywołania konfliktu z Francją osiągnąć wydanie kilku z wybitniejszych emigrantów italskich.



Mussolini przyjmuje paradę milicji faszystowskiej, której delegacje przybyły ze wszystkich stron kraju. Synowie „Il Duce", zapisani są również do szeregów, w których świecą przykładem karności. Mussolini, będąc doskonałym psychologiem, wie dobrze, że tłumy lubują się w pompatycznych ceremonjach.

Sprawy te, jak wogóle wszelkie walki, prowadzone drogą tajnych metod, są zanadto powikłane, aby móc stąd wyciągnąć jakiekolwiek wnioski.

Faktem jest jednak dowiedzionym, iż do służby tej angażuje się wielu ludzi niepewnych, a często podszywają się osoby, nic nie mające wspólnego ani z państwami, ani z opozycją. Wyraz temu dał Mussolini, tłomacząc się przed radą ministrów, w dniu 6 grudnia 1926 r. z drażliwych wypadków, wynikłych na gruncie rzekomego konfliktu franko-italskiego.

„Częstokroć się zdarza — oświadczył Il Duce — iż tłumowi ludzi nienaganych przewodzą ni stąd ni zowdąd elementy najbardziej podejrzane, wszelkiego rodzaju prowokatorzy, z których większość nawet została zdemaskowana przez partję i z niej usunięta. Bywa również, iż winę za zbrodnicze wystąpienia przypisać należy poprostu chęci zlikwidowania na tej drodze zwykłych porachunków osobistych".

I niewątpliwie, w okresie zmagań politycznych żerują niejednokrotnie ludzie bez czci i wiary — zwykli przestępcy kryminalni, kompromitujący najszczytniejsze poczynania ideowe.

Wielką i bezsporną zasługą Mussoliniego pozostanie zawsze to, iż, jak przyznają to Italczycy, słynący wszak do niedawna z przysłowiowego lenistwa, „Il Duce" nauczył ludzi pracować, podniósł ilość, jakość i wydajność pracy, a tem samem uśmierzył rozwydrzone namiętności...

Dzieło, którego dokonał Mussolini dla umiłowanej ojczyzny, skupiło dokoła niego większość obywateli kraju, którzy wierzą niezłomnie w coraz bujniejszą przyszłość Italji.

Er.

Obchód święta narodowego 3 maja w Paryżu



Zabiegliwości pana ambasadora Chłapowskiego i jego małżonki należy zawdzięczać, iż każda uroczystość narodowa obchodzona jest niezwykle podniośle, gromadząc liczne rzesze Polonji rozsianej po całym kraju na miejscu obchodu. Donoszą nam z Paryża, iż z okazji tegorocznego obchodu święta narodowego 3-go maja pp. Chłapowscy urządzili w salonach naszej ambasady przyjęcie, na którem obecni byli liczni przedstawiciele stołecznej inteligencji współpracującej na polu zbliżenia obu narodów, członkowie korpusu dyplomatycznego oraz przedstawiciele sfer wojskowych. Na fotografji widzimy państwa Chłapowskich wśród grona Polaków zamieszkałych w Paryżu, którzy pośpieszyli złożyć swoje życzenia z okazji Święta. W ciągu dnia odbyła się podniosła akademja.

JEAN MARTET.

Clemenceau — Foch...

Jak Clemenceau przystąpił do napisania „Blasków i Nędzy Zwycięstwa"

Znany autor francuski, Jean Martet, będąc w ciągu dłuższego czasu sekretarzem Clemenceau, pilnie notował z dnia na dzień przebieg swoich rozmów z Tygrysem. Zapiski te pozwoliły p. Martet opracować kilka książek o znakomitym mężu stanu, z których: „Le Silence de M. Clemenceau" i „M. Clémenceau peint par lui meme" ukazały się kilka miesięcy temu, a ostatnia — „Le Tigre", zaledwie przed kilkoma dniami. Serja artykułów, których drukowanie rozpoczynamy od niniejszego, jest wyciągiem z książki p. Martet. Czytelnik znajdzie w nich ciekawe komentarze, które mu pozwolą zrozumieć, dlaczego Clemenceau, będąc u schyłku życia, podjął wytoczenie w swem dziele „Grandeurs et Miseres d'une Victoire" procesu przeciw swym współczesnym, a zwłaszcza przeciw marszałkowi Fochowi.

FRANCJA, A NIEMCY.

27 stycznia 1929.

J. MARTET. — Czy mogę zadać Panu jedno pytanie?

CLEMENCEAU. — Cóż to za wstęp?! Przeraża mnie pan — ale proszę...

J. MARTET. — Chodzi mi o następującą sprawę. Oto mamy z jednej strony Francję, a z drugiej — Niemcy. Chciałem zapytać, co pan myśli o przyszłości tych narodów? Czy myśli pan, że pożrą się wzajemnie, czy też, że nastąpi wreszcie stan rzeczy, który moglibyśmy nazwać erą trwałego pokoju?

CLEMENCEAU. — Znakomite pytanie!... Doskonałe... Otóż, drogi panie, oświadczam przedewszystkiem, iż zadawałem sobie podobne pytanie w ciągu sześćdziesięciu lat mego życia i że dotychczas jeszcze niema dnia, ażebym się nie zastanawiał nad tem zagadnieniem. Francji zagraża wiele niebezpieczeństw: jedne są natury wewnętrznej, drugie płyną zzewnątrz. Groźnymi są dla niej Anglicy, Amerykanie... Ale można ostatecznie pogodzić się z tem. Inna rzecz natomiast, jeśli mowa o niebezpieczeństwie niemieckiem.

Przed 70-m rokiem nie zwracałem najmniejszej uwagi na Prusy. Walczyłem za wolność, za demokrację... Przyszła wojna, w wyniku której, jak wiadomo, zabrano nam Alzację i Lotaryngję. Kiedy powiedziano nam wówczas w Bordeaux: „Oto są warunki pokoju, które postawiły Niemcy. Czy zgadzacie się na nie?" Odpowiedziałem: „Nie". A jednak pokój został zawarty na tych warunkach, a Niemcy zabrały nam Metz i Strasburg, zacierając sobie ręce z radości, iż wszystko skończone.

I oto, widzi pan, jeśli prawo natury, prawo, że tak powiem, ludów, mogło dopuścić, iżby Niemcy nas zwyciężyli i zmusili do zapłacenia i podpisania gwarancyj na przyszłość — to nie znaczy, żeby mieli równie słusznie zrabować Francji, której granice były określone, która wszak miała właściwą sobie formę i duszę — miasta i prowincje. Wyobrażali sobie, że granica — to kopce i słupy, które można dowolnie przenieść o sto kilometrów dalej.

A następnie wkroczyliśmy w okres pokoju, który trwał 44 lata i w ciągu którego Niemcy niejednokrotnie wyrażali ubolewanie, że nie zgnietli nas ostatecznie w roku 70-m. W ciągu tych 44 lat żyliśmy z dnia na dzień, bacznie czuwając i mało dwadzieścia razy, zadawaliśmy sobie pytanie: „Czyżby już nie jutro?" U nas, oczywiście, w myśl zasady, że dla zapewnienia sobie spokoju, głowę należy wpakować pod poduszkę — ignorowano jak można najdłużej niebezpieczeństwo niemieckie. I zaczęto się nad tem zastanawiać — myślę tu o opinji publicznej i o Parlamencie — dopiero wówczas, kiedy zbrojenia Niemiec przybrały wiadome panu proporcje. I znaleźli się wówczas poczciwcy, którzy zapewniali: „Nie bójcie się! Nigdy socjaliści niemieccy na to się nie zgodzą!" Z jaką trudnością udało się nam wyperswadować tym poczciwcom, że to wcale nie jest tak pewne.

Nadszedł rok 1914. Niemcy uderzyli na Belgję i cztery lata walczyli z nami po bandycku, rozstrzeliwując ludność cywilną, kobiety, uwożąc zakładników, wszystko puszczając z dymem i t. d., i t. d. Straszne przejścia z czasów ubiegłej wojny pozostawią na długie lata niezatarte wspomnienia. Jak wiele wysiłku kosztowało nas odbudowanie z gruzów całych połaci kraju — my tylko wiemy, my, których groszy użyto w tym celu, którzy lata całe pracy poświęciliśmy tej sprawie.

Zostali pobici. Poproszono ich, aby podpisali traktat. Podpisali i wnet zaczęli się zastanawiać, jakim sposobem mogliby nie dotrzymać zobowiązań? W dziesięć lat po podpisaniu tego traktatu, co z niego zostało? Stresemann podniósł głos, jakgdyby to on był panem... W r. 1929 jasnem się stało, że Niemcy, którzy nic nie zapłacili z tego, co mieli zapłacić — w dalszym ciągu nie będą płacić; że znów zaczęli fabrykować armaty, aeroplany, gazy, że odbudowują siłę zbrojną. I wówczas poczęto w nas wmawiać, że niema na to rady i że w razie, gdybyśmy udawali nawet, iż zdajemy sobie sprawę z tego, co się święci — byłoby to przeciwnem sprawie pokoju światowego. Francja przybrała wówczas ulubioną swoją pozę: wtuliła głowę pod poduszkę. Znakomicie.

Zapytam pana teraz — czy możemy czuć sympatję do Niemców? Co? Czy możemy lubieć ludzi, którzy chcieli nas zakatrupić, którzy nas męczyli, którzy nas masakrowali i zniszczyli naszą ziemię? Za dużo przelano krwi! Za dwadzieścia lat... za czterdzieści, może... czas zrobi swoje.

Czy należy pragnąć conajmniej, żeby stosunki nasze były poprawne? Tak. Z pewnością Wszystko — byleby nie wojna!... Czyż wszystko? raczej tylko wiele...

Zachodzi jednak pytanie, jak mamy dążyć do stworzenia tych warunków współżycia? Jakżeby inaczej! Niemcy podpisały zobowiązania — więc muszą przedewszystkiem je spełnić. Muszą złożyć broń. Niemcy wywołały wojnę, muszą za nią zapłacić. Bo za tę cenę dopiero świat zdoła się odbudować.

Niczego więcej nie żądamy od Niemiec. Zpośród tych wszystkich, którzy rękę przyłożyli do stworzenia traktatu, byłem może tym, co najszczerzej przyznawał Niemcom prawo do życia i do dobrobytu. Nie dlatego, żeby życie i dobrobyt Niemiec mogły się przyczynić do stworzenia dobrobytu innych ludów — ale poprostu dlatego, że uważałem to za sprawiedliwe, za zgodne z prawem światowem. Niemcy dają wszak światu coś nie coś... Mogę nienawidzieć Niemców, lecz nie pragnę ich zagłady. Pod warunkiem wszakże, aby i Niemcy pozwolili nam żyć.

J. MARTET. — I czy uważa pan, że można się tego po nich spodziewać?

CLEMENCEAU. — Krótko panu odpowiem. Nie. Nie wierzę w to.

ŻYCIE I ŚMIERĆ.

5 lutego 1929.

J. MARTET. — Mówił mi pan przed paroma dniami, że niczego dobrego nie należy się spodziewać ze strony Niemiec...

CLEMENCEAU. — W sprawie pokoju, tak.

J. MARTET. — A dlaczego?

CLEMENCEAU. — Bo Niemcy są narodem — jakże to panu powiedzieć?... Oto ma pan Francuzów, Anglików... Mogą oni popełnic niejedno szaleństwo i idąc za głosem właściwego im temperamentu, impulsywności — zburzyć nawet cały świat. Ale to mają do siebie — co znacznie w każdym razie jest pocieszające — że we wszystkiem, czy to w dobrem, czy w złem, w pysze swej, czy w rozpętaniu instynktów — są narodami ludzkiemi. Chcę przez to powiedzieć, że w każdej okoliczności życia nie przestają patrzeć na rzeczy i czuć, jak ludzie pewnej rasy o określonych poglądach.

J. MARTET. — A Niemcy, nie?

CLEMENCEAU. — Właściwością człowieka, drogi panie, jest ukochanie życia. Niemcy nie znają tego uczucia. W duszy ich, w sztuce niemieckiej, w filozofji i w literaturze tkwi jakieś dziwne niezrozumienie życia, niezrozumienie tego, co stanowi urok życia, jego wielkość. Naród ten natomiast czuje uwielbienie dla śmierci, jest to jakiś chorobliwy, sataniczny, że tak powiem, pociąg.

Wyobrażali sobie coś w rodzaju bóstwa, na które spoglądają z drżeniem, a jednocześnie z uśmiechem ekstazy, a bóstwem tem jest śmierć. Skąd im to przyszło? Nie wiem... Przeczytaj pan, co piszą ich poeci: śmierć... śmierć w pieszym szyku... w konnym... wszędzie! Na każdem miejscu! We wszelkich pozach! We wszelkich przebraniach! Śmierć im przewodzi, śmierć im żyć nie daje...

Niech pan dobrze sobie rozważy, co mówię o Boszach. Francuz kocha życie. Jest nie mniej waleczny od innego i, kiedy musi wojować, czyni to znakomicie, a nawet, kiedy ongiś grano do boju fanfary i uganiano się po krajach — lubił ten zawód. Lecz Francuz lubił w wojnie ryzyko, bohaterstwo, przygody.

Bosz zaś lubi wojnę jako taką i również dlatego, że wynikiem jej jest możność rozboju. Wojna jest paktem, zawartym ze śmiercią. Bosz lubi wojnę, gdyż zbliża go ona do jego bogdanki — do śmierci.

Wynika stąd, że zarówno Bosz, jak i Francuz, mogą walczyć, lecz wiedzeni są odmiennemi przyczynami: Francuz walczy w obronie swego kraju i rad jest, jeśli może imponować ludom, Bosz pragnie tylko masakry. Bosz zapatruje się na sprawę wojny z zimną krwią i dlatego też do niej się przygotowuje; Francuz zaś myśli o wojnie dopiero od dnia mobilizacji. I otóż na tem właśnie rzecz polega, że z każdym dniem wojna przestaje być sprawą odwagi, zawadjactwa i polega coraz bardziej na przygotowaniu.

NIE POLEMIZUJE SIĘ Z NIEBOSZCZYKIEM.

10 kwietnia 1929.

Otrzymuję telefon: „Pan Clemenceau prosi zajść do siebie na rozmowę. „Przybywam na rue Franklin. P. Clemenceau prosi mnie do swego gabinetu.

CLEMENCEAU. — Prosiłem pana w następującej sprawie. Baschet*) przy-

*) Redaktor Naczelny „Illustration".

(Dokończenie na str. 16-ej)



— Pogódźcie się — mówi dobry Bóg na widok Clemenceau i Focha („Candide").

Lotnictwo-nieodzowną potrzebą kraju!

Z OKAZJI TYGODNIA LOTNICZO-GAZOWEGO, ODDAJEMY GŁOS PRZEDSTAWICIELOM LIGI OBRONY POWIETRZNEJ I PRZECIWGAZOWEJ:



Inż. Juljan Eberhardt, prezes Zarządu Gł. L. O. P. P.

W wyścigu narodów w dziedzinie lotnictwa i gazów Polska uczestniczyć musi. Głów i rąk do tego mamy dosyć. Brakuje nam tylko wyrobienia szerokich mas i... funduszów. Jedno i drugie jest zadaniem Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej.

W czasie od 18 do 25 maja Liga urządza swój „Tydzień" tegoroczny. Niechaj każdy śpieszy ze swem poparciem, a przedewszystkiem niech zostanie członkiem Ligi, jeżeli dotąd tego nie uczynił.

Juljan Eberhardt.

Polska posiada w sprawach obrony przeciwgazowej pewne zasługi i pewne, chociaż młode jeszcze, tradycje. Obywatele Rzeczypospolitej, którzy ofiarnością swoją i pracą swą zapoczątkowali tak pięknie pracę nad obroną przeciwgazową, nie powinni zapominać o tem, że nie wolno nam rezygnować z tego przodującego stanowiska, że nietylko należy utrzymać się na obecnej wyżynie pracy, lecz w dalszym ciągu rozbudowywać ją tak, aby utrzymać nadal zdobyte stanowisko.

Zenon Martynowicz.



Wiceprezes Zarz. Gł. L. O. P. P. dr. Zenon Martynowicz.

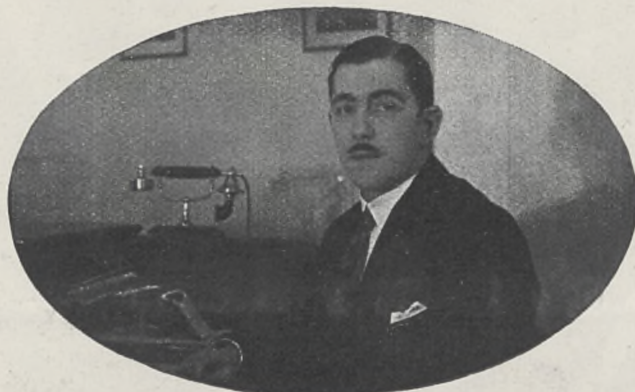


Wiceprezes Zarządu Głównego L. O. P. P. inż. Stanisław Rudziński

W gromadzie jest siła. Przykładem tego jest Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Z drobnych składek 500.000 członków tej organizacji, z ofiar ludzi dobrej woli, z pracy ofiarnej powstają i tworzą się rzeczy wielkie, ważne dla Rzeczypospolitej Polskiej i w czasie pokoju, i w czasie wojny. L. O. P. P. buduje liczne lotniska, Instytut badań lotniczych, buduje i utrzymuje szkoły mechaników lotniczych, popiera twórczość lotniczą w dziedzinie samolotów i silników, opiekuje się sportem lotniczym, szerzy wiedzę lotniczą, w szczególności wśród młodzieży, słowem niema dziedziny w lotnictwie, w której L. O. P. P. nie okazała swego poparcia.

I to wszystko powstaje z funduszów społecznych, bez subwencji państwowych, bez zwiększenia podatków, bezboleśnie dla kieszeni obywateli. Oprócz budżetu państwowego na cele lotnicze, dzięki członkom L. O. P. P. powstał w Polsce budżet społeczny, wydatnie uzupełniający fundusze, które państwo przeznacza na lotnictwo. L. O. P. P. odwołuje się o dalszą pomoc.

Stanisław Rudziński.



Dyrektor Zarządu Gł. L. O. P. P. p. Wład. Baliński.

L. O. P. P. jest bardzo popularna, lecz mnóstwo obywateli jeszcze nie wie dobrze, czem ona jest naprawdę, jak wielkie ma znaczenie dla obrony kraju. Mnóstwo nie zdaje sobie też sprawy, że dzięki niej rozumie dziś doniosłe znaczenie lotnictwa i obrony przeciwgazowej, oraz współdziała w ich rozwoju. Jest to wynikiem stałej, wytężonej, a często niedostrzegalnej propagandy, należącej do najpoważniejszych zasług L. O. P. P., a nie przestającej być jednem z najważniejszych jej zadań.

Pragnę podkreślić następujące znaczenie Ligi, którego nie zauważa nawet wielu najgorętszych jej przyjaciół, bo jest ono niejako uboczne, wychodzące poza jej cele bezpośrednie.

Liga jest największem polskiem stowarzyszeniem społecznem. Ma 500 placówek czyli 5000 zarządów, a zatem ma przeszło 30.000 członków swych władz; wśród nich dużą liczbę ofiarnych pracowników, wytrwale oddających wielkiej sprawie swój czas, myśli, energję.

Władysław Baliński.



Prof. dr. Maksymiljan Huber (Politechnika w Warszawie) Członek Prezydjum L. O. P. P.

Wysiłki, skierowane ku drobnemu naprzód ulepszaniu w konstrukcji płatowca w praktyce dają rezultaty znacznie pewniejsze, o ile są prowadzone w ścisłem porozumieniu z instytucjami naukowemi, aniżeli próby dokonania przewrotowych wynalazków. Ulepszenia w konstrukcji idą w kierunkach poprawy własności aerodynamicznych, zmniejszenia ciężaru własnego, zwiększenia bezpieczeństwa lotu. W kierunku pierwszym pracuje Instytut Aerodynamiczny, ufundowany przez L. O. P. P., w drugim — Instytut badań technicznych lotnictwa i wytwórnie nasze; wreszcie zwiększenie bezpieczeństwa lotu otrzymuje się wspólnym wysiłkiem teoretyka aerodynamicznego i wytrzymałościowego.

Maksymiljan Huber.

Kardynalną podstawą lotnictwa narodowego jest własny rodzimy przemysł lotniczy. Bez niego nie może być mowy o mocarstwowem znaczeniu Polski w powietrzu.

Ale niedość posiadać przemysł — należy jeszcze stworzyć warunki, sprzyjające jego pracy i postępowi. Twórczy program lotniczo-przemysłowy Rządu, poparty przekonywającemi cyframi budżetu państwowego, odczucie przez naród niezmiernej wagi, jaką posiada dla państwa rodzima twórczość lotnicza i poparcie tej twórczości zaoszczędzonym groszem społecznym — oto zasadnicze warunki istnienia i postępu przemysłu lotniczego, tego granitowego fundamentu potęgi powietrznej Polski.

Zb. Arnd.



Sekretarz Prezydjum Zarządu Gł. L. O. P. P. Zb. Arnd.

MAURYCY DECOBRA.

„Suche" Stany Zjednoczone

II.

MIASTO ROZBITYCH SERC.

Wierni wyznawcy Islamu ślubują, że przynajmniej raz w ciągu żywota odbędą pielgrzymkę do Mekki. Natomiast w Ameryce wiarołomni małżonkowie odbywają inną pielgrzymkę — do Reno.

Reno jest śliczną mieściną w Nevadzie, położoną wprost Sierry, noszącej to samo miano i górami Virginji, na rubieży zachodniej pustyni. Na głównej ulicy miasteczka, zwanej Virginia Street, spotkać można, obok wytwornych pań, ubranych przez krawca z Champs-Elisées, cowboy'a w skórzanych portkach, lub Indjanina w stylu Fenimore Cooper, który przybyszom z Zachodu proponuje nabycie własnego wyrobu naszyjników, kobiałek lub haftów.

I podobnie, jak w niektórych kurortach europejskich co drugi człowiek cierpi na reumatyzm lub na podagrę, w Reno przebywają tysiące kandydatów do rozwodu, którzy tu również przybyli dla specjalnej kuracji. Jest to kuracja, że tak powiem, pewna. Nie przepisują tu wód, ani leków. Jedynie tylko wyroki. Ludzie tu zameldowują się na dwa, trzy miesiące i rozwodzą, jakgdyby ręką odjął. Bez lekarza, ale dzięki świattej pomocy prawnika. A spotykając się rankiem w hallu hotelowym, nie mówi się:

— Jak tam szanowne kiszeczki?

Ale raczej:

— No, jak tam z tym procesem?

Podsłuchałem pewnego razu rozmowę dwóch młodych niewiast, raczących się herbatą. Szeptała jedna drugiej intymne zwierzenia:

— Jeszcze tylko czterdzieści dni pobytu... i uciekam do Paryża. Mąż mój nie okazuje sprzeciwu. Rozwód otrzymamy w pięć minut. Muszę przyznać, że Henryk był bardzo na miejscu. Bo jakże inaczej? Zdradzał mnie od sześciu miesięcy z drugorzędną gwiazdą z Hollywoodu. I namówił mnie, żebyśmy wszystko odbyli w Reno — bez skandalu lub bez rozgłosu.

A druga na to:

— Zazdroszczę pani, bo mój jest okropną kreaturą Mieszkamy w New Yorku gdzie, jak pani wiadomo, złamanie wiary może być przyczyną do rozwodu. Ale szelma — wystrzega się tego jak ognia. Przynajmniej oficjalnie. Cóż miałam robić? Przyjechałam tu i czekam. Boję się tylko, żeby nie zakwestjonował wyroku przed sądem w New - Yorku... Ile pani zapłaciła adwokatowi?

— Bagatelę! Zażądał doprawdy minimalnego wynagrodzenia — 250 dolarów, plus koszty.

— Moja sprawa zato jest tak zawiła, że zapłacę nie mniej 5—6.000 dolarów adwokatowi, nie licząc, że detektywi New-Yorku kosztowali mnie już ze 3.000... Ach, szelma!... Niech pani sobie wyobrazi, że detektywi w New-Yorku kosztowali mnie już ze się w kostjumach kąpielowych w Miami. Trzeba się wystrzegać pięknie zbudowanych mężczyzn, którzy pozatem umieją nurkować dłużej nad 45 sekund...

Prawo rozwodowe w Nevadzie stosuje się w razie, jeśli jedna ze stron może wykazać się stałem zamieszkaniem w Reno i pobytem bez przerwy w ciągu 90 dni. Przepisy są tak surowe, że zainteresowani nie mają prawa opuścić miejsca zamieszkania, choćby na 24 godzin. Obostrzenie to zostało wprowadzone celem ukrócenia komedji, jaka rozgrywała się ongiś, kiedy przybywano do Reno z grzebykiem i szczoteczką do zębów, wynajmowano pokój na pół roku — poczem nazajutrz już po zameldowaniu, rozwodnicy znikali i przyjeżdżali z powrotem w wilję rozprawy sądowej. Inaczej jest obecnie, gdyż gospodarz mieszkania czy hotelu ponosi odpowiedzialność za lokatorów i musi przysiądz, że pan lub pani X... nie opuszczali Reno w ciągu przepisowych trzech miesięcy. Podejrzewam sfery handlowe Reno, iż postarały się we własnym interesie o zaprowadzenie tego obostrzenia—i wcale im się nie dziwię...

Prawo głosi zatem, iż w razie, naprzykład, jeśli pan mąż kandydatki do rozwodu nie udzieli pełnomocnictwa swemu adwokatowi, wyznacza się 42-dniowy termin zwłoki. Jeśliby małżonek w dalszym ciągu okazywał swoje *desinteressement*, podanie o rozwód winno być opublikowane w ciągu 30 dni w piśmie lokalnem. Po dziesięciu dniach wreszcie sprawa wraca na wokandę, a wyrok ogłoszony jest zaocznie, z piorunującą szybkością.

Reno, jak widzimy, byłoby wyśnionym Edenem dla amatorów rozwodu, gdyby nie pewne ale... A przeszkodą w danym wypadku jest ustawodawstwo obowiązujące w New Yorku, które sprzeciwia się zatwierdzeniu wyroku z Reno, z wyjątkiem wszakże, jeśli chodzi i wiarołomstwo jednej ze stron.

Setki młodych niewiast, przybywających do Reno, są więc skazane na przymusowy pobyt trzymiesięczny. Kuracja, jak wiele innych. Jeśli więc kogo stać na to, spędza czas bezczynnie, przeklinając ród męzki przy stoliku bridżowym lub przy pokerze. Biedniejsze zaś panie — pracują...

Oto pewnego razu w jednej z *Cafeteria* w Reno nawiązałem rozmowę z usługującą mi piękną blondynką.

— Czy jestem z Nevady? — roześmiała się. — Skądże znowu? Z Chicago. Przybyłam tu na trzymiesięczny pobyt. A że mąż nie chce słyszeć o niczem — pracuję, żeby zarobić na koszty adwokata i sądu. Czy myśli pan, że to ja jedna? Kasjerka z magazynu obok ma jeszcze do odbycia 45 dni. Mąż jej stracił wszystko, co mu przyniosła, podczas krachu na Wall Street i chciał ją zmusić do pracy, żeby odrobiła zmarnowany posag... A ona mu na to: — Będę pracowała, ale dlatego, żeby móc zarobić na koszty rozwodu... A gdy będę znów wolna, wyjdę za takiego gentlemana, któryby zrozumiał, że piękna kobieta nie powinna gnić w biurze. — Czy nie jest słuszne? Jak pan uważa?

— Ależ naturalnie, łaskawa pani... I życzę wiele szczęścia przy nowym eksperymencie matrymonjalnym...

Piękna blondynka skreśliła szybko rachunek do kasy i rzuciła mi na odchodne:

— E, wie pan... z mężami, to tak samo, jak z okazyjnemi samochodami. Należy wypróbować dwa lub trzy, nim się natrafi na taki, którego wszystkie 6 cylindrów funkcjonowałyby normalnie.

Podczas pobytu mego w Reno spotkałem pewnego cudzoziemca, który sprzedawał po miastach kasy automatyczne. — Cenna znajomość — pomyślałem. — Ten przecież musi znać wszystkie plotki Rozwodowego Grodu!... Te też codziennie szukałem okazji dłuższej z nim rozmowy, aż pewnego wieczoru, po powrocie z kina, zaciągnąłem go na szklaneczkę whisky do mego pokoju.

— Wyobrażam sobie, jak pan musi tu używać w Reno. Toć to dla młodego kawale-

fot. Metro

Czy wiecie że...

...lotnik, będąc w górze, słyszy rozmaite dźwięki, idące z ziemi na różnych wysokościach: szczekanie psa słyszy on na wysokości 6.000 stóp, gwizd lokomotywy — w odległości dwóch mil angielskich, głos ludzki — na wysokości 160 stóp dźwięk trąbki sygnałowej — na wysokości 4.500 stój.

*

...w Polsce jest 28 tysięcy ślepców.

*

...w Polsce jest 8 tysięcy lekarzy, 2 tysiące lekarzy-dentystów, 2350 felczerów, 6.500 akuszerek.

*

...okres ciąży u słonia trwa 20 miesięcy.

*

...angielskie biblijne towarzystwo sprzedało w ciągu ubiegłego roku 1.200.000 egzemplarzy biblji, a więc o pół miljona więcej, niż poprzedniego roku. Głównymi odbiorcami tego „towaru" była Kanada i Australja.

Czy wiecie że...

...skóra i tkanka podskórna dorosłego człowieka ważą 12 kilo.

*

...w Ameryce mieszka obecnie trzy lub cztery razy więcej Irlandczyków, niż w ojczyźnie ich — Irlandji.

*

...kompozytor Berlioz w dniu swego ślubu stworzył utwór p. t. „Droga na szubienicę". Wielu ludzi uważa to za jego najlepsze dzieło.

*

...ołówek karminowy starczy do nakarminowania 20 metrów kwadratowych warg.

*

...jedynym Anglikiem, który zasiadał na papieskim tronie, był Hadrjan IV (zmarł w roku 1159).

*

...„Szach-mat" znaczy dosłownie: „cesarz umarł".

ra, jak pan, wobec takiego mnóstwa samotnych niewiast, musi być rajem Mahometa...

— Myli się pan — zaprzeczył melancholijnie wojażer. — Zapomina pan o tem, że wszystkie te niewiasty, piekielnie bojąc się kompromitacji przed rozwodem, prowadzą życie niczem w nowicjacie... Boć jest tu przecież kilku detektywów, utrzymujących stały kontakt z wielkiemi biurami z New-Yorku i Chicago, którzyby nie omieszkali donieść w tej chwili nieobecnym mężom o bryknięciu żon... A wówczas przepada odszkodowanie rozwodowe, które z takim mozołem opracował adwokat, można się pożegnać z rentą, kojącą zbolałe serca...

— Sądząc więc ze słów pańskich, to miasto, o którem w całym kraju tyle się opowiada plotek, byłoby w samej rzeczy najcnotliwszem z miast amerykańskich?

— Najzupełniej. A dowodem tego jest, że stali mieszkańcy Reno, będąc twórcami tej błyskawicznej procedury, sami nigdy nie rozwodzą się!...

WIKTOR PRZECŁAWSKI.



A burza zbliżała się.

„Nastrój powstania" płonął w sercach młodzieży, a wstąpienie na tron Mikołaja i pierwsze jego zarządzenia nastrój ten coraz bardziej rozpalały. Wyczuwał te nastroje nawet zniedołężniały Zajączek, który jeszcze cesarzowi Aleksandrowi donosił, że partja Czartoryskiego podobna jest do spisku, chociaż nie zasługuje na to określenie, i że prace jej i dążenia „mogą wybuchnąć" wprawdzie nie za jego panowania, ale później. Oprócz działań grupy Adama Czartoryskiego i związków tajnych zachęcały do powstania i inne jeszcze nadzieje i okoliczności. Spisek dekabrystów świadczył, że i w Rosji nie brak rewolucyjnych dążności, i że w razie wybuchu w Polsce, można będzie liczyć na sympatję i pomoc rosyjskich wolnomyślicieli. Dalej Wojna Rosji z Turcją spowodowała wymarsz znacznych sił rosyjskich za Bałkany, co znowu wzmagało szanse orężnego ruchu w Polsce. Wreszcie rewolucje we Francji i w Belgji wywołały powszechny nastrój wojenny, a nowa wielka wojna europejska, której niemal wszyscy oczekiwali, łatwo mogła znowu „polskie zagadnienie" postawić na porządku dziennym.

Tych nastrojów stolicy i kraju w. ks. zdawał się nie spostrzegać. Już na jesieni 1830 roku pisał on do Opoczinina: „Chwała Bogu, tu cicho i spokojnie, i sądzę, że ten spokój zostanie utrzymany. Wedle wszelkich wiadomości nie może być mowy o niczem poważnem, wszystko stare po staremu, a nowego nic. W wojsku duch dobry, panuje generalny śmiech nad lekkomyślnością i łatwowiernością Francuzów i ich towarzyszy". I w następnym liście do tegoż Opoczinina, wspominając o niepokojach, które ogarnęły nawet Niemcy dodaje: „a u nas, chwała Bogu, wszystko dobrze i spokojnie". I w następnych listach powtarza się to samo, — donosząc zaś o poborze rekruta w Polsce, podkreśla, że odbył się bardzo szybko, i że wszyscy rekruci stawili się na rozkaz z pełną gotowością .I tak oto w. ks. Konstanty był zadowolony, że „cały kraj przejawia dobre, rozumne i rozsądne nastroje".

A jednak burza była już w powietrzu. Tajna policja, która w samej tylko Warszawie rozporządzała rocznym budżetem, przekraczającym sumę 400.000 rubli (a więc sumą na owe czasy bardzo znaczną), dziwnie wtedy postępowała. W. ks. otrzymywał od niej raporty wyłącznie dotyczące oficerów, którzy np. nie nosili przepisowego umundurowania, a o spiskach nic nigdy nie słyszał.

11.

Śledztwo, przeprowadzone w sprawie dekabrystów, wykazało niewątpliwy związek, istniejący pomiędzy spiskowcami w Warszawie a „buntownikami" rosyjskimi. Wtedy-to w. ks. Konstanty polecił aresztować wojskowych członków towarzystwa patrjotycznego w Warszawie, i oddał ich sądom wojennym. Cesarz Mikołaj rozporządzenie to zmienił i aresztowani oddani zostali pod sąd senatu, jako najwyższego sądu państwowego. Główną podstawą okarżenia była obraza majestatu. Senat oskarżonych uniewinnił.

Cesarz Mikołaj rozumiał dobrze, że sprawy źle w Polsce stoją. Postanowił tedy najwyższą swą władzę podtrzymać obrzędem religijnym i przypomnieć Polsce, że jest jej „prawowitym" królem. Dlatego-to w maju 1830 r. przybył do Warszawy i odbył tu uroczystą koronację. Wjazd „króla" do stolicy podobnym był do wjazdu jakiegoś wojennego tryumfatora. Cesarz, otoczony olbrzymią świtą, jechał konno wśród podwójnych szpalerów wojska, ustawionego od rogatek na Pradze, aż do progów Zamku Królewskiego. Zaczęły się potem obiady i parady. Te ostatnie trwały cztery dni i zakończone zostały rzeczywiście imponującym przeglądem wojsk polskich i rosyjskich. Dowodził osobiście w. ks. Konstanty, a cesarz Mikołaj był ponoć bardzo zadowolony. Po paradach przyszła kolej na ogłaszanie manifestów. I to odbywało się uroczyście, z wielką pompą, „po królewsku". Specjalni heroldowie zbierali się przed frontem pałacu Bruhlowskiego, i otoczeni kompanją honorową jednego z pułków polskiej jazdy, odczytywali manifest o koronacji. Następnie ruszali z miejsca najpierw w stronę Zamku, a następnie „na całe miasto", powtarzając ogłaszanie manifestu na każdym większym placu.

Nadszedł nareszcie dzień koronacji. Cesarz Mikołaj w płaszczu purpurowym i z koroną na głowie szedł z Zamku do katedry piechotą, — za nim postępował w. ks. Konstanty w towarzystwie w. ks. Michała Pawłowicza, a dopiero za nimi szła cesarzowa pod baldachimem, a za nią ks. łowicka z następcą tronu. Wspaniały obiad zakończył uroczystość. Szumiały działa i wiwaty. Przy huku tych dział wzniesiony był także uroczysty toast na cześć Polski, a nikt z obecnych nie przypuszczał jeszcze, że pokojowy huk dział zamieni się rychło w straszny grzmot wojenny, a „braterskie" toasty zamienią pełne nienawiści walki.

Tegoż dnia rozdano wiele orderów, zaszczytów i nagród, lecz, co podkreślić należy, nikt z otoczenia w. ks. Konstantego nie otrzymał żadnego odznaczenia.

W czasie tych uroczystości były poruszone, oczywiście, także sprawy zarządu państwowego. Cesarz nosił się z zamiarem zwołania sejmu, po którym spodziewał się posłusznego spełnienia jego „królewkiej" woli. W. ks. Konstanty zamiar ten energicznie zwalczał. Mawiał w tym czasie, że „wartoby sejm pozbawić języka", i że chociaż nie obawia się i nie przewiduje w kraju żadnych niepokojów, to jednak uważa, że gotująca się silna opozycja będzie dużo mówić, i że to jest najzupełniej dla Polski zbyteczne.

Cesarz i „król" Mikołaj nie chciał jednak odkładać zwołania sejmu, i chciał nawet pozostawić posłom pełną swobodę działania. Wtedy-to wystąpił minister spraw wewnętrznych, hrabia Mostowski, który zaczął straszyć cara opozycją, w czem dzielnie mu sekundował osławiony senator Nowosilcow. Obaj podsuwali sposoby osłabienia opozycji. Musiały jednak te „sposoby" bardzo już być rażące i brutalne, skoro cesarz je odrzucił, a nawet nazwał je ubliżającemi jego godności cesarza i króla.

Sejm został zwołany. Odbyło się to spokojnie. Trzeba przyznać, że car w swej mowie wstępnej imiał zachować takt i znaczny umiar. O drażliwej sprawie niewysyłania armji polskiej na wojnę turecką — co stało się, jak wiemy, jedynie dzięki nieugiętej woli w. ks. Konstantego — wyraził się nader oględnie: „Armja polska — powiedział — nie wzięła udziału w wojnie, ponieważ moje bezgraniczne do niej zaufanie skłoniło mnie do powierzenia jej innego zadania: ona była świetną strażą przednią, czuwającą nad bezpieczeństwem całego państwa".

(D. c n)

MAURYCY BEDEL.

Panna Laurence i djabeł

Tłumaczone przez Hap.

Panna Laurence miała lat 53 i w ciągu całego życia ani razu nie wyjeżdżała z Londunu. Miasteczko to dostarcza swym mieszkańcom wiele urozmaiceń: na wiosnę przylatują tu jaskółki, w lecie trzeba walczyć z muchami, jesienią odbywa się doroczny jarmark, zima zaś przynosi grypę.

Panna Laurence miała ponadto własne rozrywki: ze swego dość wysoko położonego domku mogła codzień obserwować, co działo się w ogródku rejenta, najbliższego jej sąsiada i słyszeć najbardziej intymne rozmowy, jeśli otworzyli okno swego pokoju, lub usiedli w cieniu bzowego karzaku.

Rozkosze każdego tygodnia uzupełniało pismo: „Echo Londunu", które drukowało nowinki, tyczące się sąsiadów z Nowego Miasta lub okolicznych wiosek. Donosiło ono czytelnikom, że właściciela sklepu na ulicy Moeurs pogryzł wściekły pies' lub ubolewało np. nad wypadkiem proboszcza z Pouan, który cudownym tylko sposobem ocalał, gdy jadąc na rowerze po pochyłej, kamienistej drodze, nie mógł się uporać z popsutym hamulcem.

Były to ważniejsze wiadomości, wypełniające szpalty owego poczytnego pisma.

Panna Laurence, siedząc na starym fotelu, obitym wyblakłym rezedowym rypsem, w zaciszu skromnego saloniku, czytała je z takim samym zapałem, jakgdyby były to wzmianki, interesujące świat cały, przypuśćmy — o Amundsenie, zaginionym wśród lodowej pustyni, lub o morowej zarazie, która nawiedziła Monceau-les-Mines, o czem czytająca nie miała zresztą najmniejszego pojęcia.

Tak oto mijały miesiące i lata, ograniczone, jak widzimy, w przeżycia.

Pewnego letniego wieczora, około godziny 6-ej, gdy panna Laurence już miała zasiąść do stołu, na ulicy dał się słyszeć odgłos samochodu. Stanęła na progu stołowego pokoju, nadsłuchując. Podobne odgłosy tak rzadko niepokoiły jej uszy, iż wyobraziła sobie, iż słyszy echo nadciągającej burzy.

Ku jej najwyższemu zdumieniu, auto zatrzymało się przed jej drzwiami i po krótkiej chwili dzwonek tak donośnie zadźwięczał u drzwi wchodowych, że dom cały zatrząsł się w posadach.

— Idź, otwórz, — rzekła do służącej; — Nie zdejmuj tylko, broń Boże, łańcucha, zanim się nie przekonasz, kto jest za drzwiami.

Za chwilę dziewczyna wróciła do pokoju.

— To jakiś pan, — oznajmiła, — powiedział mi swoje nazwisko, lecz nie mogłam spamiętać.

— Powiedz mu, aby ci dał bilet wizytowy.

Służąca podała jej wykwintny bilecik, na którym widniało:

SAM FRANKLIN
Radio Super Star i Co
Philadelphia U. S. A.

Panna Laurence pokiwała głową ze zdumieniem, przeczytała, co było napisane, obejrzała bilet z obydwuch stron i przeczytała treść jego po raz wtóry.

— Nazwisko zdaje mi się znajome, — rzekła do siebie; — wprawdzie adres...

— Poproś pana do salonu, — dodała głośno.

Cała gama różnorodnych uczuć podpłynęła gorącą falą do serca: mieszały się nawzajem ciekawość i niepokój, wzruszenie i niecierpliwość. Kim był ów gość? — zadawała sobie pytanie; nazwiska tego w mieście nie znają, a wymienionego adresu niema również w całej prowincji.

Gdy zbliżyła się do drzwi salonu, do uszu jej doleciał odgłos wspaniale zgranej orkiestry.

— Cóż to ma znaczyć, — pomyślała, — czyżby ten pan przywiózł ze sobą towarzyszy?

Gdy weszła do pokoju, ujrzała przed sobą sympatycznego, eleganckiego mężczyznę.

Nieznajomy szurgnął głośno nogami i skłonił się nisko, poczem wygłosił długą przemowę głosem, który pannie Laurance wydał się czarujący; nie wiedziała, co milej wpada jej do ucha: czy dźwięk jego głosu, czy tony melodji, które zdawały się wypływać z pod podłogi.

— Oto przed panią cuda techniki współczesnej,— przemówił, — które bezpośrednio łączą nas z falami eteru. „Radio-Super-Star Company" pozdrawia ją i ma zaszczyt zaprodukować jej za darmo koncert B-moll Mozarta, nagrany przez radjoorkiestrę z Pól Elizejskich.

— Boże mój! — zdołała wykrztusić panna Laurence, oszołomiona niezwykłą uprzejmością gościa i oczarowana tonami niewidzialnej orkiestry. —

— Proszę, niech pan siada; rzeczywiście jestem oszołomiona... nie wiem, doprawdy...

— Aparat ten, — ciągnął dalej pan Frankiln niewzruszenie spokojnym głosem, — który zdawał się doskonale pasować do poważnej muzyki Mozarta — ...aparat ten na konkursie radjowym został zaszczytnie przez Radjo-Klub w Ohio nagrodzony. Jest on lekki, wykwintny, praktyczny i elegancki, wygodny do przenoszenia i rozkładający się bez trudu na części; zaopatrzony jest w anodę, akumulator, słuchawki i głośnik, pozatem Radio-Super-Star dodaje bezpłatnie radjo-walizkę, z radjo niklowemi, nieoksydującemi się zamkami. Kuter ten ułatwia posiadanie radio w podróży. Instytucja nasza daje przytem bardzo przystępne warunki opłaty. 60 miesięcznych radjo-rat po 29 fs. 50. Radio-Super-Star Company uważa sobie za zaszczyt pozostawić aparat na trzy dni tytułem próby, przyczem, w ciągu tego czasu, pozostanie w nieprzerwanym kontakcie z radjostacją Pól Elizejskich.

Wypowiedziawszy to wszystko jednym tchem, pan Franklin zamilkł; jednocześnie też dograno do końca koncert B-moll Mozarta i jakiś głos z za świata oznajmił, iż śpiewać będzie pan Gaetan Larose de Levallois, sławny tenor z La Scala.

— Nie chcę dłużej przeszkadzać — rzekł pan Franklin, uśmiechając się dyskretnie. Szurgnął głośno nogami, skłonił się nisko i zniknął za drzwiami, zanim panna Laurence zdążyła ochłonąć z wrażenia.

— Boże mój, — pomyślała, — ten pan Franklin jest chyba wysłańcem djabła, a sprzęt, który mi zostawił, jest zapewne zaczarowany.

Sprzęt musiał być rzeczywiście zaklęty, gdyż w tej chwili wydobywał się z niego wprost nieziemski głos pana Larose, który śpiewał:

„...Słodkie, dźwięczne imię twoje
Ogarnęło myśli me...."

Słowa skierowane były niedwuznacznie do panny Laurence; dźwięczały przymilnie i upajająco tuż obok jej uszów. Ona, zarumieniona, spojrzała poza siebie, chcąc się upewnić, czy drzwi salonu zamknięto i przycisnęła dłonią mocno bijące serce. Tak jeszcze nikt do niej nie przemawiał.

— Ależ panie, — wyszeptała bojaźliwie.

On jednak śpiewał dalej:

„...Wypowiedzieć sam się boję,
Czy piękne oczy te..."

— Ach, jakże zachwycające! — westchnęła panna Laurence, — ile taktu i dyskrecji!

Poddawała się coraz bardziej złudzeniom, biorąc je za rzeczywistość.

„...włosy twoje, ukochana,
Cudnym blaskiem złota lśnią..."

— Ależ cóż znowu, — broniła się, zawstydzona, — ...blaskiem złota?... zresztą... mój Boże... być może....

Z niedowierzaniem kręciła głową, a serce biło jej mocno.

Gdy pan Larose przestał wypowiadać swoje niedwuznaczne aluzje, oddano prawo głosu panu Jacquemard, profesorowi Instytutu Rytmo-gimno-terapji, który oznajmił pannie Laurence w pełnych zapału i przekonywujących słowach, iż wielki już czas po temu, aby codziennie rano i wieczór zechciała się poddać odpowiednim, wykładanym przez niego, zabiegom gimnastycznym.

— Wstać! — zawołał głośno.

Podniosła się pomimo woli.

— Ręce opuść, piersi naprzód, wdech, wydech, baczność, padnij, ramiona schyl, naprzód, wtył, raz, dwa! raz, dwa! raz, dwa! ramiona zwróć, w lewo, w prawo! raz, dwa! raz, dwa!...

Panna Laurence wykonywała na froterowanej posadzce salonu rozkazy tajemniczego głosu.

W tej samej chwili Marysia uchyliła drzwi salonu zaniepokojona, czemu pani tak długo nie siada do stołu. Zobaczywszy swą chlebodawczynię, leżącą na podłodze, bez znaku życia, w cieniu mrocznego salonu, krzyknęła przenikliwie i cofnęła się przerażona.

Wtem męzki głos zawołał:

— Uwaga!

— Mordercy! — wrzasnęła służąca.

— Cicho bądź, głupia! czy nie widzisz, że biorę lekcję rytmiki?

— Jak pani mówi?... co?... — wykrztusiła osłupiała. — Czy mam podać dwa nakrycia?

— ...dwa! — krzyknął tajemniczy głos mężczyzny.

— Ach, tak, rozumiem, — odrzekła Marysia i oddaliła się śpiesznie.

Był to wieczór, pełen czaru i niespodzianek. Po przepięknym śpiewie, jakiego nigdy nawet w kościele św. Marcina nie słyszała, nagrano muzykę taneczną. Następnie mówiono o gruźlicy u cieląt.

— Jakież to zajmujące, — rzekła do siebie; — trzeba będzie codzień rano poddać mleko analizie.

Wreszcie młoda panna, niejaka Zuzanna Lenglen, zaczęła przemawiać, jak doszła do mistrzostwa świata w tenisie. A potem rozległy się ponownie tony słodkiej melodji, która aż do późnej nocy kołysała ją w marzeniach. Nocy tej spała krótko i niespokojnie. Obudziła się nadługo przed godziną, w której zwykle przynoszono mleko. Nie mogła spać spokojnie.

Wszystkie dotychczasowe zasady i zapatrywania zaczęły się chwiać w swych posadach. Przewracała się z boku na bok, a czepek pokrzywił się jej na bakier; podobnie działo się z myślami.

Właśnie siadła do śniadania, gdy tajemniczy mezki głos oznajmił, że jest ósma.

— Jakże uprzejmie z pana strony, — odrzekła,— serdecznie dziękuję.

Marysia przetarła oczy, wyjrzała za okno, a nie spostrzegłszy nikogo, zabrała się na nowo do pracy zaniepokojona jednak tajemniczym głosem.

Około godziny szóstej, gdy panna Laurence odpoczywała, utrudzona gospodarskiemi czynnościami, niewidzialny posłaniec oznajmił jej cały szereg najświeższych nowin: zwycięztwo Cochet'a nad Tilden'em; nominacja pana Hija Szumenkowicza na ministra spraw zewnętrznych w Jugosławji; otwarcie Igrzysk Olimpijskich w Amsterdamie; podpisanie traktatu chińsko-amerykańskiego; w chwili, gdy reporter przytoczył rozmowę posła Filipa Berthelota z niemieckim posłem, baronem von Hoesch na temat wypadku w Landau, na ulicy Portail rozległ się głos gazeciarza, który sprzedawał najświeższy numer „Echa Londunu". Zbliżył się, jak zazwyczaj, do okna panny Laurence, lecz tą odrzekła tym razem:

— Nie potrzebuję twojego pisma; już wiem, że Cochet pobił Tildena, że bogowie zeszli z Olimpu i są obecnie w Holandji i że niemiecki poseł w Candzie pojechał do pana Berthelota.

Mówiła to wszystko umyślnie podniesionym głosem, by rejent, którego okna naoścież były otwarte, mógł słyszeć każde jej słowo.

Po obiedzie znów nadano koncert. Słuchała go w nabożnem skupieniu i popijała ze smakiem czarną kawę ze starej porcelanowej filiżanki. Na taki zbytek pozwalała sobie dwa razy do roku: w pierwszy dzień Wielkanocy i 15 sierpnia; obydwa te dni były uroczystemi miejscowemi świętami, obchodzonemi przez całą parafję loudunską.

W salonie zapalono wszystkie świece, a gdy orkiestra rozpoczęła „Dziewiątą symfonję", panna Laurence, ubrana w odświętną suknię, otworzyła wachlarz i, wachlując się, zagłębiła swą postać wygodnie w fotelu.

— Ach, — westchnęła głęboko, — jak to przyjemnie żyć wśród ludzi szerokiego świata!

Następnego dnia zjawił się pan Sam Franklin i wtargnął do salonu panny Laurence z szybkością jemu właściwą. Szurgnął po swojemu głośno nogami, skłonił się, poczem wyjął deklarację z teki, grubo wypchanej papierami.

Gdy podpisała ją, nie czytając, podał jej niewielką książeczkę:

— Oto broszurka „Rady dla początkujących radjoamatorów"; Towarzystwo Radio Super Star ma zaszczyt ofiarować ją pani, wraz z naszemi najszczerszemi radjożyczeniami i najserdeczniejszemi radjopodziękowaniami.

Powiedziawszy te słowa, zniknął z radjową szybkością, zostawiając ją sam na sam z broszurką; przeczytała ją z początku do końca, nie zrozumiawszy ani słowa.

Od tej pory wszystko zmieniło się w życiu panny Laurence. Coraz to rzadziej wychodziła z domu: mieszkańcy Londunu wydawali się jej coraz bardziej ograniczeni i coraz mniej towarzyscy dla niej dopasowani. Gdy zdarzyło się, iż po dawnemu odwiedzili ją starzy przyjaciele rodziców, byli przerażeni i zaniepokojeni rozmowami, jakie z nimi prowadziła.

— Co myśli pani o pakcie antywojennym Kellogą? — pytała, i dodała po chwili: — Czy należy sądzić, że Sowiety go podpiszą?

Kiedyś rzuciła od niechcenia:

— ...jak to mi wczoraj powiedziała Cecylja Sorel: „Kobieta bez kokieterji, to jak kwiat bez...

— Któż to jest ta twoja nowa znajoma? — spytano, przerywając jej rozpoczęte zdanie.

— Jakto? — odrzekła zdumiona. — Więc nie zna pani panny Cecylji Sorel, sławnej aktorki z Komedji Francuskiej?

Rozeszło się po mieście, że panna Laurence przyjmuje u siebie aktorki sceniczne i śpiewaków. Każdy niemal dzień przynosił nowy skandal. Marysia rozpowiadała najdziwaczniejsze historje: że nowi przyjaciele i wesołe przyjaciółki jej pani przychodzą do niej nie przez drzwi, a przez okno i komin, że zamyka się z nimi następnie w salonie i tam rozmowom i muzyce niema końca; każdy zresztą łatwo może spostrzec, że panna Laurence stroi się na codzień, jak w święto.

— Świat się chyba kończy! — mówili ludzie wokoło.

Przestano ją odwiedzać. Nie martwiła się jednak, tem wcale; do kogo przychodzą goście tej miary, jak pan Andrzej de Fouquieres, Jego Eminencja Baudrillart, lub hrabina Noailles, temu nie zależy przecie zupełnie na towarzystwie ludzi bez wykształcenia.

(Dokończenie na str. 17-tej)

Francuz André Quinon po swej podróży na motocyklu przez pustynię Sahharę.





Również i kobiety, narówni ze swymi mężami, walczą w Indjach o niepodległość. Na prawo — Serajini Naidu, przemawiająca do tłumów.



Achilles Varzi, na 2-litrowym Alfa-Romeo, pobił rekord wytrzymałości, jadąc ze średnią szybkością 78 klm.





W tych dniach przybył do Warszawy prezes amerykańskiej wytwórni filmowej, Paramount, p. Adolf Zukor.



Królowa rumuńska Marja składa wieniec na grobie ofiar pożaru, kościoła w Costesli.

Dzieci króla Jugosławji cieszą się królującą obecnie wiosną.

Co słychać na świecie

Wyniku wyborów do Sejmu Śląskiego, jakie się odbyły w ub. niedzielę, z naszego punktu widzenia za korzystny dla nas uważać nie możemy. Wybory te wprowadziły do izby śląskiej 16 przedstawicieli ludności niemieckiej dzięki temu, iż głosowała ona zwarcie na jedną tylko listę. Choć więc liczba głosów niemieckich w porównaniu z wyborami ogólno-państwowemi w r. 1928 zmniejszyła się, praktycznie jednak — w zestawieniu z liczbą posłów niemieckich w poprzednim sejmie — niemiecki stan posiadania wzrósł o dwa mandaty. Głosy polskie natomiast rozbiły się na szereg list, mianowicie zwolennicy Korfantego zdobyli 13 mandatów; dalej z list prorządowych wyszło 10 posłów; P. P. S. (CKW) rozporządza w obecnym Sejmie Śląskim 4 mandatami; N. P. R. — 3, a komuniści 2. Zestawienie przytem mandatów polskich nie daje żadnej rękojmi, by posłowie nasi w Sejmie Śląskim chcieli utworzyć zwarty front w obronie polskiego stanu posiadania w tej najstarszej dzielnicy piastowskiej przeciw żywiołowi napływowemu, który niewątpliwie występować będzie solidarnie już choćby z tego tylko względu, iż wyszedł z jednej i tej samej listy, popieranej przez olbrzymie fundusze z poza kordonu.

A przecież — mimo te, tak niekorzystne dla nas wyniki — polskość Śląska, zwłaszcza owego Górnego Śląska, który od piastowskich czasów znalazł się poza orbitą polskich wpływów politycznych, — polskość Śląska, powtarzamy, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Stwierdzają to już bodaj zapisy dzieci do szkół powszechnych: od 85 do 99% dzieci, zrodzonych w r. 1924, zapisało się do szkół polskich. Czyż może być lepsze świadectwo polskości kraju? Zestawiając te cyfry z danemi co do wyborów, tembardziej żałować wypada rozbicia głosów w czasie wyborów śląskich.

*

W piątek ubiegły p. marszałek Sejmu złożył p. Prezydentowi Rzeczypospolitej wniosek o zwołanie sesji nadzwyczajnej, podpisany przez trzecią część ustawowej liczby posłów; wniosek został przyjęty.

*

W d. 8 b. m. p. min Kwiatkowski, w czasie przyjęcia w Min. Przemysłu i Handlu wygłosił dłuższe przemówienie, poświęcone naszemu kryzysowi gospodarczemu, którego natężenie związane jest, jak to podkreślił p. minister, z czynnikami materjalnym i psychicznym.

Ustaliwszy, jakie są elementy przyczynowe naszej depresji gospodarczej, nakreślił p. minister wytyczne programu stopniowej naprawy struktury naszego gospodarstwa, a mianowicie: 1) przygotowanie warunków dopływu długoterminowych kredytów zagranicznych i kapitałów zagranicznych oraz 2) podjęcie szeregu inwestycyj państwowych, polegających na rozbudowie sieci kolejowych i pocztowych, dróg, portu handlowego w Gdyni, floty handlowej, produkcji nawozów sztucznych i szkolnictwa ogólnokształcącego i zawodowego.

Poza tym programem zasadniczym wskazał p. minister Kwiatkowski na program doraźny, na którego czoło wysuwa się sprawa budowlana, zagadnienie elektryfikacji kraju i znalezienie dla naszej produkcji nowych zewnętrznych rynków zbytu. Ze sprawą budowlaną wiąże się emisja I serji premjowej pożyczki budowlanej na 50 milj. zł., zapowiedziana w ub. tygodniu.

*

W d. 12 b. m. rozpoczęła się w Genewie 59-ta sesja rady Ligi Narodów. P. min. Zaleski udał się na nią, stając osobiście na czele delegacji polskiej.

*

Dziennik angielskie donoszą, jakoby sowieckiej ambasadzie w Londynie grozić miał skandal, żywo przypominający paryską aferę Biesiedowskiego. Do Londynu przybyć mieli wysłannicy G. P. U., którzy wręczyć mieli ambasadorowi Briljant-Sokolnikowowi rozkaz wy-



Dnia 5 maja nastąpiło uroczyste uruchomienie uprzywilejowanego ruchu tranzytowego z Rumunji przez Polskę i Czechosłowację. — O godzinie 7 rano, na stacji granicznej Śniatyń, nastąpiło spotkanie min. kom. inż. Alfonsa Kühna z rumuńskim min. komunikacji p. Halipą. Na zdjęciu naszem widoczni: archimandryta Galaction i dyr. dep. mn. kom. Gałecki.

jazdu do Moskwy wraz z dwoma sekretarzami ambasady i szeregiem urzędników. Podobno dwaj sekretarze i czterej urzędnicy zamierzają oprzeć się temu rozkazowi i pozostać w Londynie wzorem Biesiedowskiego.

*

W kronice naszej, streszczającej w paru wierszach najdonioślejsze wydarzenia świata, nie jesteśmy w stanie notować poszczególnych wypadków, jakie kolejno następują w Indjach po aresztowaniu przywódcy ruchu „biernego oporu", Gandhiego. Następcą jego został, po aresztowaniu Mahatmy, Abbas Piadji, ale i jego też już aresztowano, poczem przywództwo spoczęło w rękach kobiety, Sarajini Naidu. Aresztowania te nie wpływają jednak bynajmniej na uspokojenie w Indjach; odbywają się tam wielkie demonstracje uliczne, ogłaszane są dnie żałoby, tłumy napadają na pociągi, by palić towary europejskie, — policja więc, a niekiedy i wojsko, muszą interwenjować ,aresztować i ostrzeliwać tłumy tubylców. Bojkot towarów angielskich w Indjach budzi poważne zaniepokojenie zwłaszcza w przemyśle bawełnianym w Lancashire, gdzie już od dłuższego czasu dostrzec się daje spadek zamówień do Indyj, a dziś wszelkie tranzakcje niemal zamarły. Kto wie, czy to nie będzie właśnie owa „ultima ratio" ruchu wolnościowego w Indjach, przed którą ugiąłby się liberalny rząd londyński.

Perkale lancashirskie muszą być przecież sprzedawane, bo zwiększenie się bezrobocia w Anglji mogłoby mieć groźne następstwa.

DŹWIĘKOWCE W POLSKIM JĘZYKU

Jak donosi nam korespondent paryski, amerykańska wytwórnia kinematograficzna „Paramount" wykorzystuje olbrzymie atelier do zdjęć filmów dźwiękowych w Joinville pod Paryżem, celem rozpoczęcia na szeroką skalę produkcji przeznaczonej dla Europy.

W atelier tem nakręcać będzie Paramount filmy dźwiękowe w językach: francuskim, niemieckim, włoskim, hiszpańskim, szwedzkim i polskim, przyczem do każdego filmu angażowani będą specjalni aktorzy danej narodowośc.

Charakterystycznem jest, że filmy w języku polskim przeznaczone być mają dla wszystkich rynków słowiańskich w Europie (Polska, Czechosłowacja, Jugosławja i t. p.).

W związku z obsadzaniem kierowniczych stanowisk na placówkach w Centralnej Europie, dyrektorem warszawskiej filji Paramount został mianowany p. Mieczysław Czaban.

Jako potwierdzenie wiadomości naszego korespondenta, przed kilku dniami przybył do Warszawy prezydent Paramountu, Adolf Zukor, z całym swym sztabem, celem zaznajomienia się z tutejszym rynkiem filmowym i możliwościami produkcji oraz eksploatacji.

Pan W. Kane, któremu powierzono kierownictwo produkcji europejskiej, przeprowadził szereg konferencyj odnośnie do obsadzenia ról i stanowisk reżyserskich przez artystów polskich. Dowiadujemy się, że p. Kane, który chwilowo wyjechał z p. prez. Zukorem zagranicę, powróci niebawem na dłuższy pobyt do Warszawy.

W braku możności postawienia filmu polskiego na światowym poziomie własnemi siłami — pomocy Ameryki należy gorąco przyklasnąć.

REPERTUAR TEATRÓW

WIELKI
dn. 15 b. m. „Wesele Figara"
dn. 16 b. m. „Żydówka"
dn. 17 b. m. „Konrad Wallenrod" (benefis Ign. Dygasa)
dn. 18 b. m. „Opowieści Hoffmana"
dn. 19 b. m. przedstawienie zawieszone
dn. 20 b. m. „Legjon"
dn. 21 b. m. „Konrad Wallenrod"
dn. 22 b. m. „Sprzedana Narzeczona"

NARODOWY
codziennie „Dom serc złamanych"

LETNI
codziennie „Maman do wzięcia"

POLSKI
dn. 15 i 16 b. m. „Volpone"
od dn. 17 b. m. „Słaba płeć"

MAŁY
codziennie „Piorun z jasnego nieba"

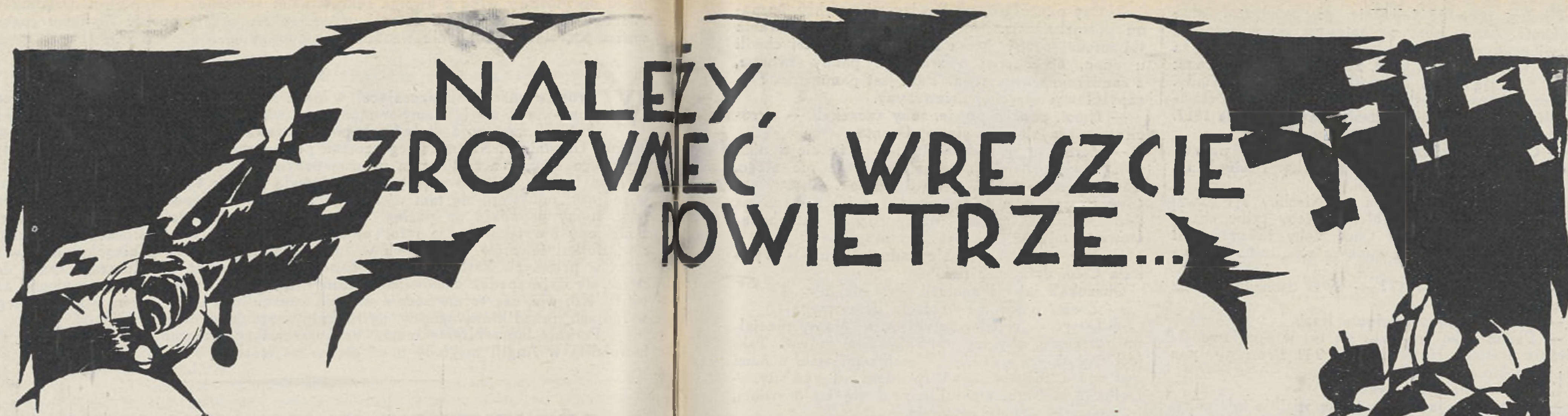
QUI PRO QUO
codziennie rewja p. t. „Budżet wiosenny"

MORSKIE OKO
codziennie rewja p. t. „Uśmiech Warszawy"

WESOŁY WIECZÓR
rewja p. t. „Naokoło świata"



Mimo, że emigranci polscy za Oceanem przebojem muszą sobie nieraz zdobywać tereny osadnicze — wychodźcy nasi tłumnie starają się otrzymywać koncesje.





Szef Departamentu Aeronautyki M. S. Wojsk., inż. L. Rayski pułk. dypl., pilot, wiceprezes Zarz. Gł. L. O. P. P.

Wszystkim już dziś wiadomo, jakie znaczenie ma i czem jest dla Państwa lotnictwo. Nie trzeba powtarzać, że wojna przyszłości rozgrywać się będzie w powietrzu. Słyszy się ciągle o eskadrach mitycznego wroga, nalatujących miasta, obrzucających ludzkie osiedla bombami i pociskami gazowemi i zmieniających ziemię w piekło.

Słyszy się o tem tak wiele, że powoli ludzie oswajają się, przyzwyczajają i przestaje to na nich robić wrażenie. Wystarczy, gdy przypomnę nie tak dawny jeszcze początkowy okres lotnictwa.

Pierwsze samoloty budziły prawdziwą sensację, ludzie porzucali najważniejsze zajęcia, by przez okno ujrzeć choć kontur żelaznego ptaka. Dziś całe eskadry mogą warczeć nad ulicami miasta, mało kto podniesie głowę.

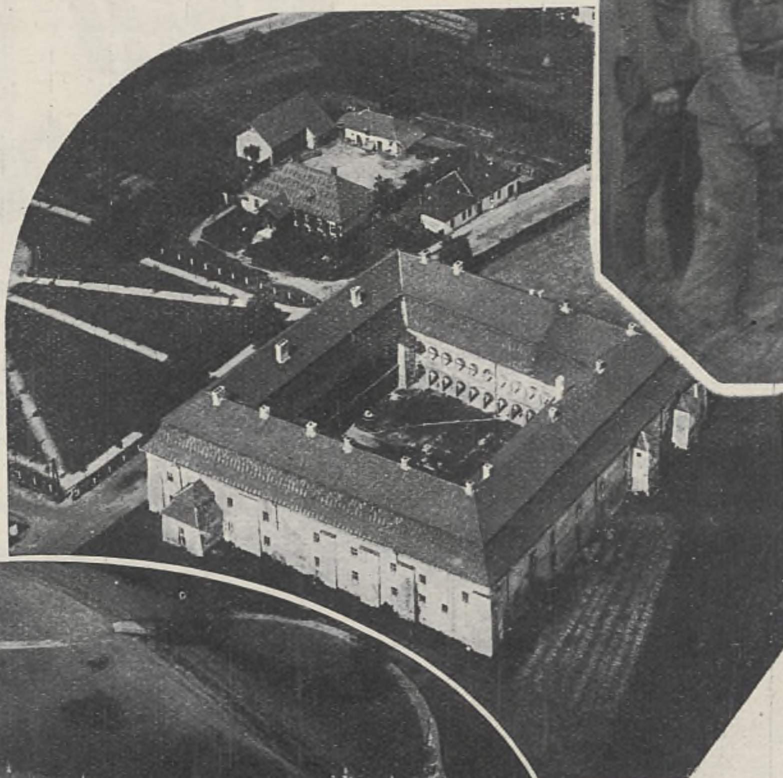
Trudno—przyzwyczajenie.

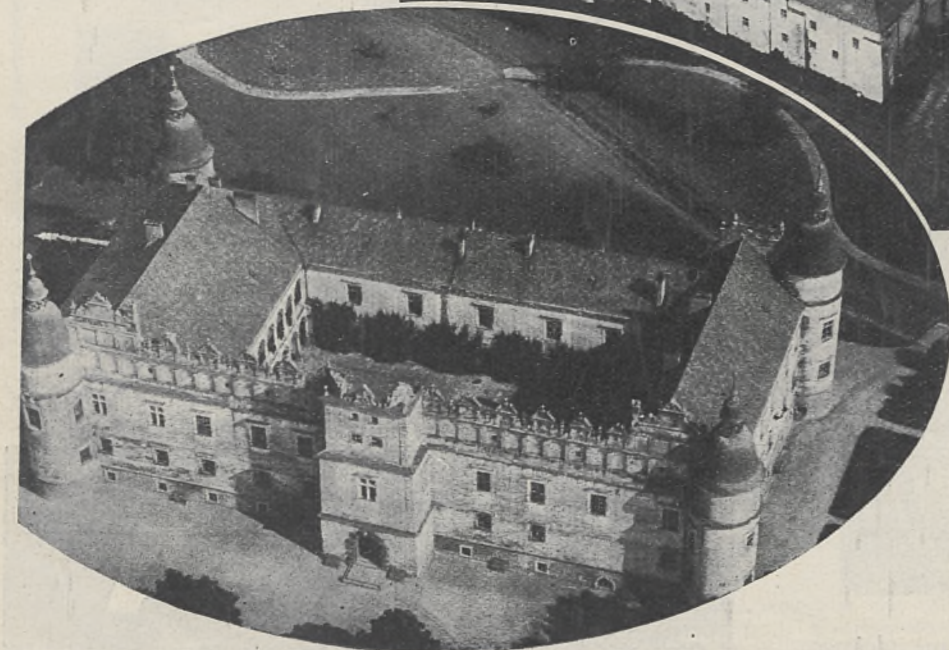
Najgorsze jest to, że *wiedzą wszyscy—i nie wie nikt.* Przechodzi się zupełnie obojętnie przed napisem: „Silne lotnictwo — to potęga Polski", lub: „lotnictwo—to broń przyszłości". Nie widzi się już ich. Zeszły do poziomu ostrzegawczych napisów przed złodziejami, których słuszność uznaje każdy, lecz nikt na nie nie zwraca uwagi.

Najważniejszą z pośród takich organizacji społecznych jest L. O. P. P. — Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej. Dnia 18 maja b. r. rozpoczyna się „Tydzień Lotniczy Ligi".



Płatowiec przed wyruszeniem w drogę poddaw[illegible] każdorazowo ścisłej kontroli mechaników.





Oto widoki, które przyziemni ludzie mogą podziwiać z fotografji lotniczych. Zamek w Niepołomicach, u góry i w Janowcu, u dołu.



Rynek w Chełmnie wraz z [illegible]em, pochodzącym z XVI wieku.

Tydzień ten jest jedną z wielkich imprez propagandowych L. O. P. P., mających przypomnieć społeczeństwu, że lotnictwo, niestety, nie stało się wyłącznie środkiem komunikacyjnym, ale że jest również bronią i to groźną bronią.

Nikt nie zaczepia chętnie silnego. Bądźmy silni, jeśli pragniemy być w spokoju.

Oto są hasła Tygodnia Lotniczego.

Jako Szef Departamentu Aeronautyki M. S. Wojsk., pragnę gorąco, by Tydzień ten zrobił swoje, by ludzie przestali uważać niebezpieczeństwo powietrzne za bajkę o żelaznym wilku. Jest to sprawa wiecznie aktualna, wiecznie nowa.

Wierzę jednak, że ludzie zrozumieją, pozbywając się najgorszego — obojętności dla spraw lotniczych. Uświadomienie powietrzne Polski nie może stać niżej, niż krajów ościennych.

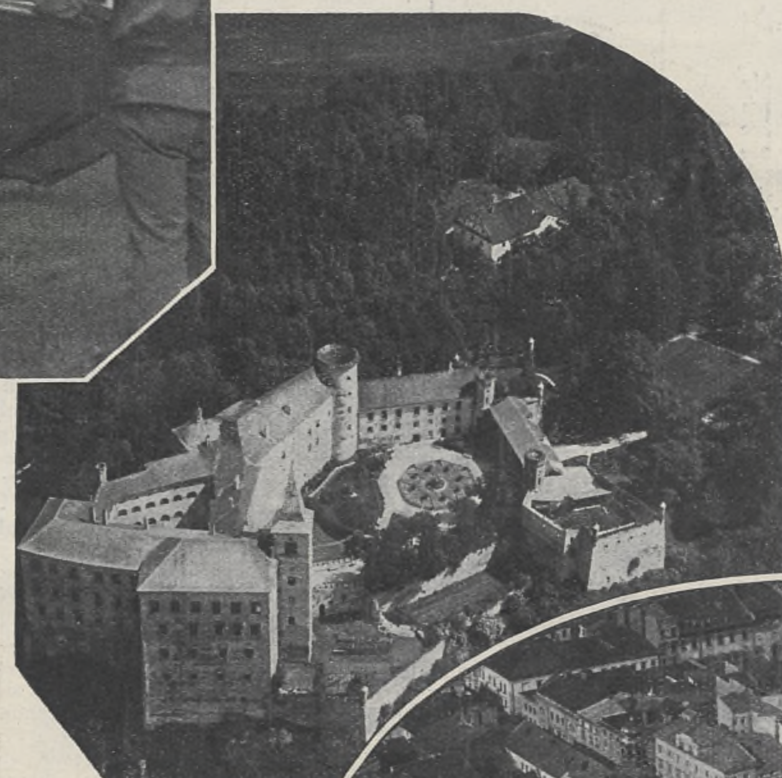
Tego wymaga bezpieczeństwo Państwa.

Szef Departamentu Aeronautyki M. S. Wojsk., *inż. L. Rayski*, płk. dypl., pilot, wiceprezes Zarz. Gł. L. O. P. P.





Pilot Klisz, jeden z dzielniejszych pionierów polskiej aeronautyki. Zdjęcie wykonane w roku ubiegłym w Medjolanie.



Lotnik polski może zachwycać się czarem swojskiego krajobrazu... a nieprzyjaciel miotać bombami na nasze miasta i wsie. U góry zamek w Pieskowej Skale, u dołu Sukiennice Krakowskie

PHILIPS OPPENHEIM (18)

BURZA

Streszczenie poprzednich rozdziałów.

W Monte Carlo odbywa się kongres wielkiego Traktatu Narodów, na którym zaproponowano zaprosić Amerykę do udziału w pracach. Agent Stanów Zjednoczonych, Grant Slattery, rozpoczyna na terenie amerykańskim walkę z wysłannikiem Niemiec, Korneljuszem Blunnem, który wespół z delegatem Japonji, hrabią Itashem, stara się urobić opinję amerykańską contra Kongresowi. Opanowuje on w tym celu prasę, oraz rozrzuca sieć szpiegowską dokoła Granta.

ROZDZIAŁ XXXII.

Stoneham powrócił ze swojego propagandowego tournee po Zachodzie mocno podupadły na duchu. Zjawił się w pokojach Granta właśnie w chwili, gdy ten kończył śniadanie.

— Przywożę złe wieści, przyjacielu — oświadczył. — Robiłem, co mogłem, i zdaje się, że uzyskałem tyle, co nieboszczyk Pussyfoot Johnsen, któryby nagle wróciwszy do tego świata, próbował propagować prohibicję. Nie chcą wogóle o tem słyszeć.

Grant nie poddał się nastrojowi przyjaciela. Był tego dnia tak zaabsorbowany pewnem ważnem odkryciem, że o przypływie pesymizmu nie mogło być mowy.

— Nie trzeba się przejmować, Dan. Wiem, że masz słuszność, że Blunn ma słuszność, ale to nie przesądza jeszcze wypadków. Na szczęście przed decydującem posiedzeniem senatu odbędzie się u nas kongres Rozbrojeń.

— Nie rozumiem tego związku przyczynowego.

— Zaraz to wytłómaczę, Dan, tylko powoli. Czy przypominasz sobie tę historyjkę o tancerce Cleo, która powodowana zazdrością o hrabiego Itasha, przyjechała za nim do Ameryki?

— Owszem, pamiętam.

— Otóż ta Cleo z zazdrości o nową kochankę Itasha, zwierzyła mi bardzo ważną tajemnicę. Była u mnie przedwczoraj i powiedziała mi coś, co już zdążyłem sprawdzić. Przyjdzie tu dzisiaj raz jeszcze.

— Czy można jej wierzyć? Czy to możliwe, by człowiek tej miary, co Itash, zawierzał jej jakieś tajemnice?

— Oczywiście, że świadomie tego nie robił. Ale pointą tej całej historyjki jest okoliczność, że Itash ma zwyczaj mówienia przez sen o sprawach, które go dniem absorbują. Z początku, oczywiście, nie zwracała na to uwagi, później uchwyciła związek luźnych słów i wszystko zrozumiała. Okazuje się, że Japonja oprócz zakupów w Niemczech robiła i znaczne zamówienia stali okrętowej w Ameryce. Ponieważ przewyższało to znacznie jej przepisowy kontyngent, czyniła niektóre zakupy tutaj w imieniu Chin.

— Ależ to kapitalne odkrycie! — zawołał Stoneham.

— Mam jeszcze dzisiaj dowiedzieć się reszty. Obiecałem jej wszystko, co jest w mojej mocy, oprócz oczywiście, małżeństwa, na które ona napewnoby się nie zgodziła, gdyż jest zakochana do szaleństwa w swoim Japończyku.

Nagle Stoneham poruszył się niespokojnie na krześle. Twarz jego pokryła się purpurą.

— Jakże ona się nazywa, ta tajemnicza osoba.

— Mówiłem ci przecież, że to panna Cleo. Cóż ci się stało, stary?

— Spójrz! — wskazał palcem na leżącą na stole gazetę.

— Rzeczywiście, nie miałem jeszcze czasu dzisiaj, by spojrzeć do gazet.

Grant czytał ze wzrastającem zaciekawieniem krótką notatkę. Ileż treści zawierała ona dla niego między wierszami.

Usiłowanie zabójstwa na Broadway.

Znana francuska tancerka pada ofiarą zazdrości rywalki.

Kilka minut przed drugą nad ranem, rozległy się dwa strzały na rogu Broadway i ulicy Trzydziestej siódmej. Strzały te wycelowane zostały w stronę panny Yvonne, znanej tancerki francuskiej, która opuszczała restaurację Masen w towarzystwie hrabiego Itasha, przydzielonego do ambasady japońskiej. Napastniczką jest rzekomo panna Cleo z Monaco, jej rywalka. Panna Yvonne, która jest lekko ranna, zdołała poznać napastniczkę, która zniknęła w tłumie. Poszukiwania i śledztwo w toku.

Grant odrzucił gazetę i zasępił się mocno.

— Tak, Dan, jeżeli Blunn zabierze się tu do roboty, może być wszystko stracone. Wiesz, w jak bliskim kontakcie jest z policją kryminalną. Nie usłyszymy od niej już ani jednego słowa. Szalona dziewczyna!

— Zadzwonię do naczelnika policji i dowiem się, czy ją zaaresztowali. Mam tam znajomego, który mi dopomoże w tej sprawie.

Położył rękę na telefonie, gdy posłyszał silne stukanie. Zanim obaj zorjentowali się w sytuacji, drzwi otworzyły się gwałtownie i zamknęły się za sobą. Na progu stała Cleo, zadyszana i podniecona.

— Szukają mnie. Natrafili już na moje ślady. Niema już czasu do stracenia. Mogą tu być za chwilę. Niech pan dzwoni do Itasha, szybko. Plaza 1817.

Stoneham podszedł do telefonu.

— Czego pani chce od Itasha? Proszę mi wszystko powiedzieć. Jest pani Francuzką. Itash działa w porozumieniu z Niemcami.

— Bah! — wykrzyknęła. — Niechby był nawet i w porozumieniu z djabłem, byleby tylko chciał zabrać mnie do siebie. Chcę, żeby tu przyszedł i wybrał. Albo zabierze mnie ze sobą, albo wszystko powiem, co wiem.

— Czy to Plaza 1817? — pytał Stoneham przez telefon.

— Tak jest, przy telefonie Itash.

— Panna Cleo znajduje się tu, w apartamencie Granta Slattery, Hotel Central, 940. Prosi, aby pan się natychmiast zjawił.

Cleo chwyciła słuchawkę:

— Sammy, to ja! Znam twoje wielkie tajemnice. Ofiarują mi tu królestwo, o ile je zdradzę. Przyjdź tu szybko, zanim wpadnę w ręce policji! Porzuć na zawsze Yvonnę, a zapieczętuję sobie usta na całe życie. Sammy, jestem ci zawsze wierną, porzuć ją i przyjdź po mnie, będę twoją niewolnicą na całe życie. Ja cierpię, Sammy. Jestem szalona z zazdrości. Zabierz mnie ze sobą!

Odrzuciła słuchawkę.

— Przyjdzie tu zaraz, przyjdzie. Teraz zobaczymy.

ROZDZIAŁ XXXIII.

Cléo rzuciła się na fotel, wstała i chodziła niespokojnie po pokoju.

— Mademoiselle — zwrócił się do niej Grant spokojnie — Niechże pani chwilę pomyśli. Nie jest pani przecież w położeniu niebezpiecznem. Panna Yvonne jest, jak słyszałem, tylko lekko draśnięta. Jeżeli nawet panią zaaresztują, można będzie przy pomocy adwokata zwolnić panią za kaucją i ułożę pani wspaniałe życie.

— Mogą mnie trzymać w areszcie parę tygodni. Przez cały ten czas ona będzie z nim! Nie wytrzymam tego. Czemuż ja jej nie zabiłam!

Grant próbował jej perswadować:

— Mademoiselle, jest pani młodą i uroczą osobą, tańczy pani ślicznie. Wynajmę dla pani mieszkanie, będzie pani miała dwa tysiące dolarów miesięcznie i automobil. Przedstawię pani całą złotą młodzież New Yorku, wystaram się o engagement w pierwszorzędnych lokalach. Czemuż zawraca pani sobie głowę takim marnym Itashem? Uczynię dla pani wszystko, jeżeli mi pani w ciągu kilku sekund dopowie tę resztę spraw.

— Za pięć minut dowie się pan wszystkiego. Za pięć minut będzie pan wszystko wiedział, jeżeli Itash nie zgodzi się zerwać z Yvonną. Powiem panu wszystko bez żadnych z pana strony wysiłków i kosztów.

— Czy pani sądzi, że dotrzyma on obietnicy?

— Jeżeli skłamie, to go zabiję. Przekona się, że nie można mnie traktować jak zabawkę.

W tej chwili ktoś zlekka zastukał do drzwi. Dziewczyna zwróciła się w stronę odgłosów i wydała okrzyk. Zastukano powtórnie i tym razem nie czekając na zaproszenie weszło do pokoju dwuch mężczyzn. Wyglądali na detektywów. Jeden z nich stanął we drzwiach, drugi zbliżył się do Granta.

— Czy pan Slattery? Bardzo mi przykro, że panu przeszkadzam. Mamy rozkaz zaaresztowania tej młodej osoby, która znajduje się w tej chwili u pana, obwinionej o zranienie panny Yvonne, z zamiarem morderstwa. Pani jest panną Cléo? — zapytał wystraszonej dziewczyny.

— Nieoh pan im powie, żeby zaczekali — zwróciła się błagalnie w stronę Granta.

— Zaraz tu nadejdzie Itash i może się z nimi ułoży. Nie chciałam nikomu uczynić nic złego. Chodziło mi przecież tylko o Itasha...

— Proszę nam oddać broń i zejść z nami na dół. Auto już czeka. Mamy rozkaz natychmiastowego odwiezienia pani do aresztu.

— Nie mam przy sobie żadnej broni — wyjąkała Cléo, drżąc jak liść.

Obszukali ją, nie znaleźli przy niej nic.

— Zanim pójdę... — zaczęła dziewczyna.

— Dosyć — nalegał detektyw. — Mamy specjalne polecenie, aby nie pozwolić pani mówić. Taki jest rozkaz szefa policji. Niech pani idzie z nami bez oporu. Inaczej będziemy zmuszeni użyć siły. — Dotknął jej ramienia i kierował się ku drzwiom, które nagle stanęły otworem.

Na progu stał Itash niezwykle blady, lecz jak zwykle uroczysty i ubrany bez zarzutu.

Cléo rzuciła się ku niemu, lecz ciężka dłoń detektywa spoczęła jej na ramieniu.

— Sammy! — krzyknęła. — Czy widzisz, co ze mną robią? Chcą mnie zaaresztować! Powiedz im, Sammy, powiedz, że to nie była moja wina. Daj im pieniędzy, każ im odejść! Powiedz, że mi bardzo przykro, powiedz im prawdę. Powiedz, że już zerwiesz z Yvonną i zabierz mnie ze sobą, Sammy!

Itash spojrzał na nią. Ani jeden muskuł nie drgnął mu w twarzy.

— Dokąd ją zabieracie? — zwrócił się do detektywa.

— Aresztujemy ją z rozkazu naszego szefa.

— Areszt to bardzo odpowiednie miejsce dla tej pani — odpowiedział Itash chłodno. — Była kiedyś moją przyjaciółką, lecz już nią nie jest. Usiłowała zamordować pewną młodą osobę, której towarzyszyłem wczoraj w nocy przy obiedzie. Nie mam zamiaru bronić jej przed wymiarem należnej kary.

Panna Cléo w tej chwili miała znów na twarzy swą maskę spokoju. Tylko oczy jej płonęły dziko, gdy patrzała w stronę Itasha.

— W ten sposób mówisz do nich o mnie? Niema już w twoim sercu cienia przyjaźni dla mnie i litości?

— Już wszystko skończone — odparł Itash z flegmą.

Nachyliła się szybko w stronę Granta i zanim detektyw zdążył położyć rękę na jej ustach, szepnęła mu kilka słów do ucha.

— Jestem gotowa — zwróciła się w stronę detektywów. — Tym razem niewielka jest moja wina. Strzelałam, aby przestraszyć, nie po to, aby zamordować lub zranić. Upłynie jeszcze wiele czasu, zanim zabiję. Bądź zdrów, Itash. Nawarzyłeś sobie piwa! Żebyś wiedział, jak wiele tajemnic spoczywa jeszcze na dnie mego mózgu, oprócz tych, które zwierzyłam już naszemu przyjacielowi, panu Slattery, nie stałbyś tu sztywno jak słup soli i czekał spokojnie, aż mnie stąd zabiorą, aby potem pójść na śniadanie z panną Yvonne. Gdybyś wiedział, drżałbyś na całem ciele, drżałbyś jak liść, bo przecież wiesz sam, że jesteś podłym tchórzem, hrabio Itash!

— Znasz tylko moje pieszczoty, pozatem nic wiedzieć nie możesz! — krzyknął Itash w stronę dziewczyny, którą detektywi ujęli pod ręce.

— Panowie — rzekł, gdy zostali sami. — Bardzo przepraszam za to zajście. Nie sądziłem, że znajduje się w pokojach pana Slattery.

— Panna Cléo jest moją znajomą z Monte Carlo — przypominał Grant. — Pamięta pan chyba wieczór, który spędziliśmy we trójkę przy kolacji.

— Wspominam to z przyjemnością. W każdym razie pozwolę sobie dać panu maleńką przestrogę. Ta młoda osoba nie zasługuje całkowicie na zaufanie. Jest gwałtownego usposobienia. Jest nawet trochę niebezpieczna.

— W takim razie dobrze się stało, że jest obezwładniona — zauważył Grant chłodno.

— Przykro mi mówić źle o kobietach — ciągnął dalej młody człowiek, naciągając rękawiczki. — Panna Cléo była kiedyś moją przyjaciółką. Znudziła mi się i obrałem sobie inną. Nie może się pogodzić z tą sytuacją, to szaleństwo z jej strony.

— Istotnie, szaleństwo — przyznał Grant.

— Sytuacja była pewnie dla pana zupełnie jasna, kiedy miałem zaszczyt zaprosić pana na kolację do Carltonu w Monte Carlo. Jest pan światowcem, panie Slattery. Dowiedziałem się, że panna Cléo rozsiewa o mnie jakieś plotki. Rozumie pan chyba teraz, dlaczego tak robiła.

(D. c. n.)

Błędy w pielęgnowaniu urody

Uderzająca jest u nas przepaść, oddzielająca nasze wrodzone poczucie piękna od bezkrytycznego umiłowania *szablonu* w dziedzinie pielęgnowania urody. Pielęgnowanie urody nie powinno wypływać z uganiania się za nowością, lecz z istotnego zrozumienia potrzeb danej *właściwości* cery, włosów i skóry ciała. Nie będę się rozwodził nad metodą rozpoznania różnych właściwości cery, znajdzie ją bowiem czytelnik szczegółowo w broszurkach o nowoczesnem, indywidualnem pielęgnowaniu urody, załączonych do każdego preparatu wytwórni lekarsko-kosmetycznej „Miraculum", nawet do preparatów codziennego użytku, jak: *pudru egzotycznego D-ra Lustra i Shampoonu D-ra Lustra.* Treść tych broszur radzę przyswoić sobie każdemu, dbającemu o zachowanie urody. Aczkolwiek uświadomienie znaczne poczyniło postępy, napotyka się dziś jeszcze wypadki niszczenia tłustej cery kremami i mydłami, czego następstwem bywają wągry i pryszcze. Tłustą cerę należy myć wyłącznie gorącą wodą i *proszkiem marmurowym „Miraculum".* O szkodliwości t. zw. domowych środków, tudzież o innych błędnych „metodach" pielęgnowania urody, pomówimy w następnym artykuliku.

Dr. Z. B.

„BUDŻET WIOSENNY"

Nasza miła nadscenka Qui-pro-Quo wystąpiła z nową wspaniałą rewją p. t. „Budżet wiosenny". Rewja jest napisana pod znakiem popierania perkali krajowych. Zasłużone oklaski zbiera cały zespół z paniami Pogorzelską i Ordonówną na czele.

(fot. Brzozowski).

Na tle sceny zbiorowej Hanna Ordonówna i Stefanja Górska

Clemenceau — Foch...

(Dokończenie ze str. 4-tej)

niósł mi artykuł Raymond Recouly, który ma się ukazać w „Illustration" i w którym mowa jest o Fochu ,o zawieszeniu broni, o Renanji, o rozbiorze Niemiec i o wielu innych rzeczach. Chciałbym pana prosić o przeczytanie tego i wypowiedzenie się w tej sprawie.

J. MARTET. — Doskonale. Co pana zwłaszcza w tem interesuje?

CLEMENCEAU. — Chodzi mi nie o styl! Pragnę wiedzieć, jakie mam osobiście zająć stanowisko.

J. MARTET. — Chce pan wiedzieć, innemi słowy, czy należy odpowiedzieć na ten artykuł?

CLEMENCEAU. — Ależ nie! Nudny pan jest dzisiaj O nic mi nie chodzi. Niech pan to przeczyta. A później — zobaczymy!

Zasiadam do lektury. Przez ten czas Clemenceau przechodzi do innego pokoju. Zapoznaję się z treścią artykułu Recouly. Zawiera on dobrze znaną tezę Focha: że zawieszenie broni dało wszystko, czego można było żądać. Lecz że pokój był zawarty na fatalnych warunkach. Że należało zająć drugi brzeg Renu, rozebrać Niemcy i t. d...

Biorę ołówek i piszę:

„Przedstawiliśmy artykuł p. Clemenceau, który nam oświadczył, co następuje: Aneksja lewego brzegu Renu? Jest to teza, której rząd francuski i republikański nie mógł podtrzymywać. Rozbiór Niemiec? Wypadki w Pirmasens świadczą dowodnie, do czego mogło to doprowadzić.

Idę z tem do Clemenceau i podaję mu notatkę.

J. MARTET. — Myślę, że należy prosić redakcję „Illustration" o umieszczenie tego. A jeżeli nie — to lepiej dać spokój.

CLEMENCEAU. — To pańskie zdanie? A więc, niech pan sobie zapamięta, że wolę nic nie mówić. Toż to dziecinnada! Rozumie pan: Foch... zarzucają mi, że źle zrobiłem, iż nie dałem mu zająć mego miejsca. Nadzwyczajni ludzie! Dlatego, że mianowano ich marszałkami, że obsypano ich gwiazdkami...

J. MARTET. — Ale przecież Foch odniósł zwycięstwo.

CLEMENCEAU. — Nie on jeden. Ale nic nie odpowiem. Nie należy zresztą wszczynać polemiki z nieboszczykiem.

J. MARTET. — Niech pan im przynajmniej odpowie w ten sposób.

CLEMENCEAU. — Dobrze. Baschet ma przyjść po to dziś, wieczorem. Powiem mu to. Powiem, że nie dam odpowiedzi. Nie chcę wpaść w pułapkę, którą mi ci ludzie szykują... Rozbiór Niemiec! Renanja! Cóż należy uczynić, aby przestano człowiekowi zawracać głowę?

D. c. n.

Panna Laurence i djabeł

(Dokończenie ze str. 8-ej)

Krawcowa panny Laurence pracowała obecnie bez wytchnienia. Dawniej klijentka dawała jej do przerobienia suknię najwięcej raz na dwa lata. Obecnie, w ciągu krótkiego czasu musiała przygotować dwie toalety popołudniowe i trzy wieczorowe.

— Musi mi, pani, moją suknię z charmeuse'y wykończyć — i to koniecznie na środę, — nagliła panna Leurence; — w środę ma mnie odwiedzić pan Poincare!...

Pewnego jednak dnia czarodziejska szkatułka zamilkła. Daremnie oczekiwała panna Laurence przez całe popołudnie na swoich codziennych gości. W domu zapanowała cisza. Dnia następnego również otaczało ją osamotnienie.

Zdrowie panny Laurence poczęła szwankować: pobladła i zżółkła, rysy się jej wydłużyły, oczy straciły blask zapału, a nogi posuwały się ciężko, jakby ich właścicielka nigdy nie poddawała się zabiegom rytmo-gimno-terapji, według wskazówek pana Jacquemard.

Jeśli wychodziła z domu, starała się przemykać pod murem, chcąc uniknąć spojrzenia ciekawych sąsiadów. Chorobliwy jej wygląd tłómaczono sobie nieregularnym trybem życia i wesołem towarzystwem.

— No, napewno się tam dobrze upijali, — mawiano niejednokrotnie.

Pewnego wieczoru, gdy wracała do domu, zdawało jej się, iż mignęła się wdali djabelska postać pana Sama Franklina, który wniósł tyle trosk i zainteresowania do jej skromnego i cichego życia. Była niemal pewna, że on to właśnie wyszedł z mieszkania pana rejenta i wsiadł śpiesznie do samochodu. Po chwili auto było już daleko, w powietrzu pozostał tylko wyraźny odór siarki.

Gdy zjadła kolację i smutna, wybierała się na spoczynek, usłyszała ze zdziwieniem, jak rozbrzmiewają w oddali dobrze jej znane tony. Otworzyła okno i okiennice; tak, nie mogła nawet wątpić; był to głos pana Larose, ten sam głos, który tak przymilająco umiał podkradać się do serca.

— Wielki Boże! — zawołała, — nic, chyba tylko zabłądził!

Narzuciła szybko mantylkę i zbiegła po schodach. Na ulicy rozglądała się na prawo i lewo, lecz nie było widać nikogo, tylko czarowny głos dźwięczał w oddali.

— Proszę pana! to tutaj! — zawołała głośno.

Poszła kilka kroków naprzód i raptem usłyszała wyraźnie, że czarowne tony rozbrzmiewają w mieszkaniu pana rejenta. Zajrzała przez okno do wnętrza. Na stoliku oświetlonego salonu stał jej najbliższy sąsiad, który, pełen zadowolenia, założywszy duże palce pod pachy kamizelki, wsłuchiwał się w tony skocznej melodji.

— Złodzieju! — krzyknęła panna Laurence, jak tylko mogła najgłośniej.

Przez wiele dni następnych, złożona niemocą, musiała przeleżeć w łóżku. Gdy pytano ją o powód choroby, w chwilach przytomności twierdziła i przysięgała, że z całą pewnością widziała djabła, który przybrał imię Sama Franklina. Gdy wezwano miejscowego lekarza, stwierdził zapalenie mózgu, puścił jej krew i przyłożył gorczycowe wizykatorje.

Pierwszego dnia, gdy podniosła się z łóżka, pierwszą jej czynnością było spalenie piekielnej szkatułki; wszystkie lampy eksplodowały, guma żarzyła się długo, a krokodylowa walizka narobiła takiego dymu i swędu, że poruszona tem była cała ulica.

Powoli wracała do swych dawnych nawyczek: widywano ją znów często w kościele, w sobotę po dawnemu kupowała „Echo Londunu" i cieszyła się nowinami, w niem zawartemi.

— Na nich przynajmniej można polegać naprawdę!

Starzy przyjaciele rodziców coraz częściej, po dawnemu, zaczęli ją odwiedzać; mówiono po dawnemu o ciężkich czasach, o małych pensjach i rentach; wszelkie nadzieje pokładano w panu Poincaré.

Ilekroć panna Laurence usłyszała to nazwisko, odwracała głowę i dyskretnie kreśliła na piersiach znak krzyża.

Chodziła częściej do kościoła niż dawniej, i odbyła pielgrzymkę do grobu św. Radegundy w Poitiers. Jednemu jednak nie udało jej się zapobiec: oto listonosz niezmiennie każdego miesiąca przynosił jej rachunek na 29 frs. 50, który musiała regulować.

Był to jedyny widomy ślad jej wiecznego paktu z djabłem.

ZŁOTO I ZŁOTNICTWO

Złoto jest metalem, którego historja splata się z pochodem cywilizacji ludzkości od samego jej zarania.

Na dwadzieścia pięć stuleci przed naszą erą, Chińczycy zdobili niem posągi swych bóstw, a w Biblji istnieje opis Arki Przymierza, w wykonaniu której złoto miało być jednym z głównych materjałów.

Bajkowe bogactwa króla Salomona pochodziły w większej części z danin, wypłacanych mu w złocie, przez wasali i wielbicieli.

Starożytni czerpali złoto z brzegu egipskiego Morza Czerwonego, złoża Kolchidy w Armenji zwabiły Jagona, a złoto Frygji Lidji — krajów Krezusa — przeszło do historji i legend.

Pisarze greccy zostawili wzmiankę o kraju, leżącym gdzieś koło Indji, tak bogatym w złoto, że mrówki, kopiąc w ziemi, wydobywały je na powierzchnię.

Hojność starożytnych władców i mecenasów sztuki, tłomaczy się ogromnemi zapasami złota, jakie posiadano wówczas.

Ciekawy staro - grecki napis pozwolił nam dowiedzieć się, że złoto zakupione przez Peryklesa dla Fidjasza na słynny posąg Ateny, kosztowało 44 talenty, czyli 30 miljonów franków złotych, uwzględniając ówczesny parytet złota.

Później Rzymianie, w poszukiwaniu drogocennego kruszcu, zapuszczali się do Galji i Hiszpanji.

Wieki średnie radykalnie zmieniają sytuację: wydobywanie złota zatrzymuje się i cały jego obieg wynosi nie więcej od 400 miljonów franków złotych — co w przetłomaczeniu na warunki obecne wynosi zaledwie dwumiesięczną jego produkcję.

Odkrycie nowych lądów, przynosi złoto Meksyku, Peru i Kolumbji, noszące często na sobie krwawe ślady gwałtów hiszpańskich conquistadorów.

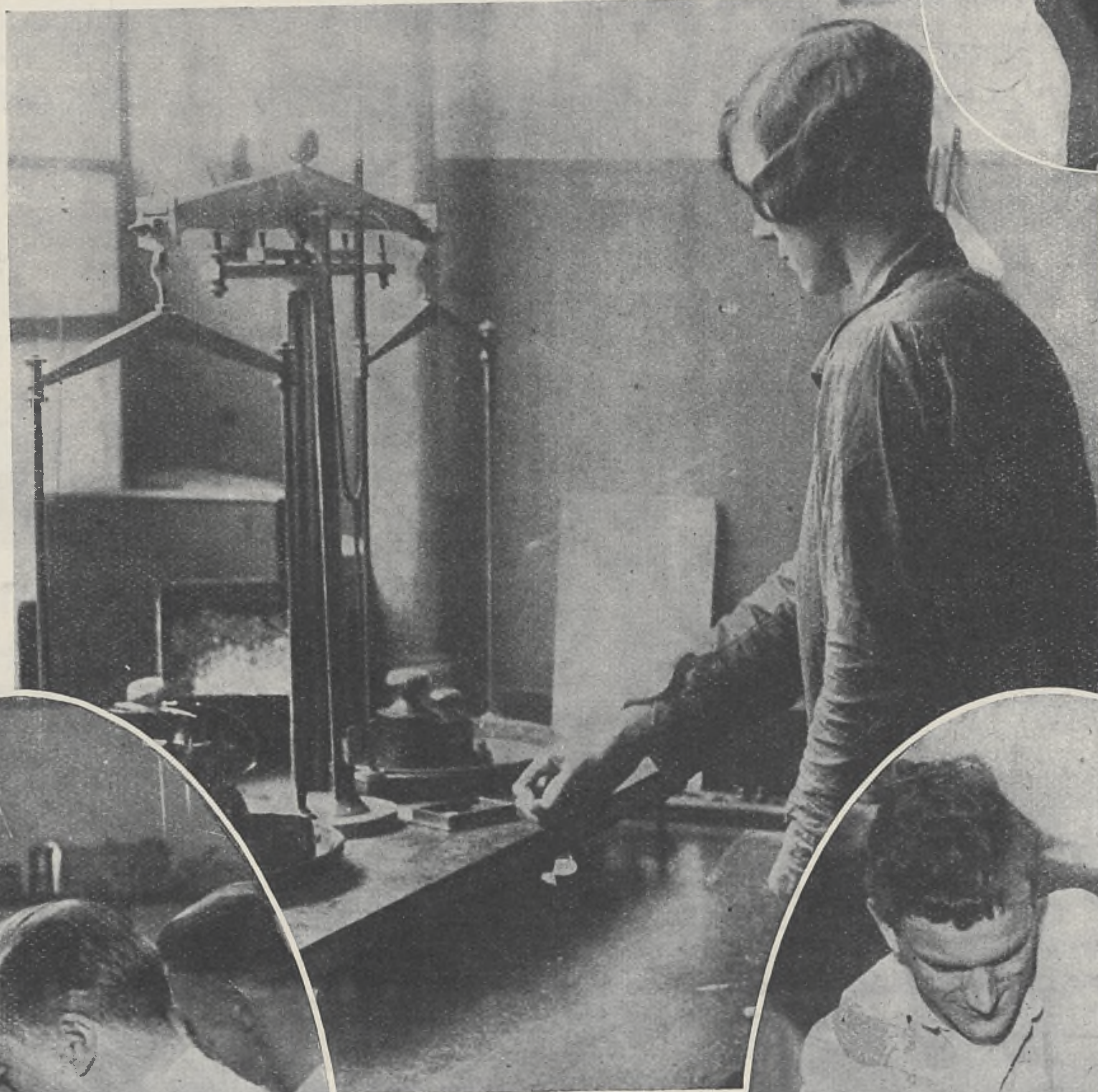
Wreszcie, pod koniec XVIII-go stulecia, oczy świata zwracają się na Brazylję, a gdy jej złoża, zwykłym porządkiem rzeczy zostały wyczerpane — na Australję i Syberję.

Przypływ złota staje się ogromny, a rezultat tego nie daje na siebie długo czekać. Europę nawiedza fala drożyzny.

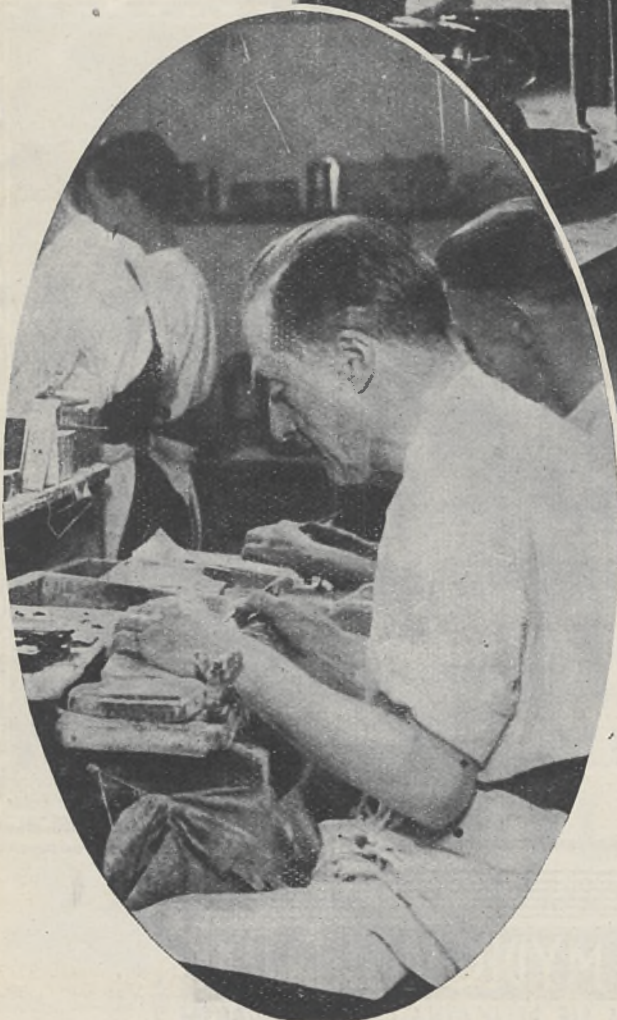
Epokowym momentem jest odkrycie złoży w Transwaalu ,1889 r.), które zbiega się z wynalezieniem udoskonalonego sposobu

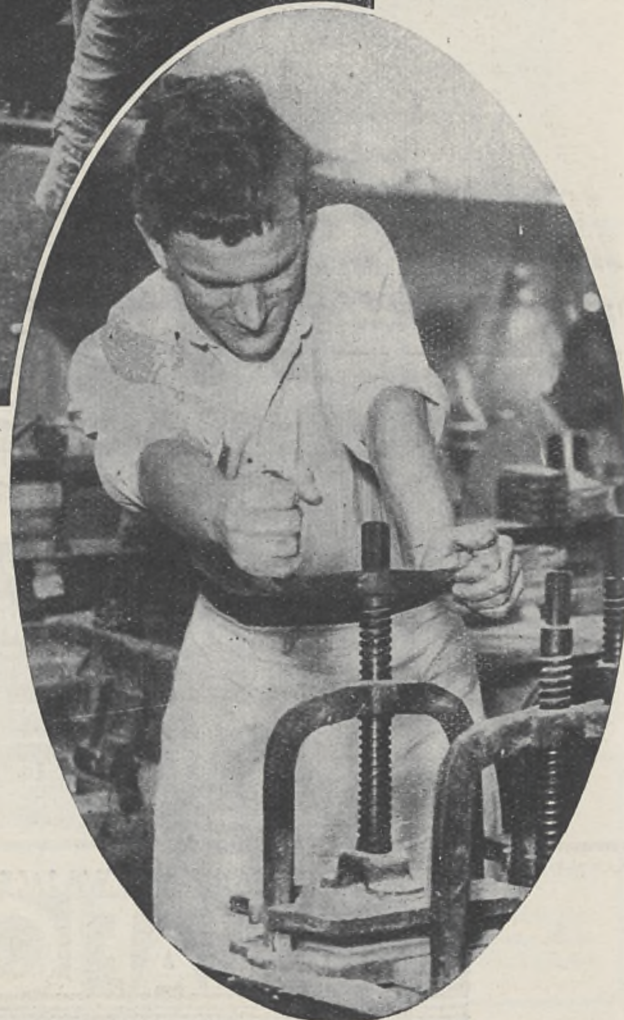


Sklepywanie złota przy pomocy zwykłego młotka na marmurowym bloku.



W porównaniu z minioną epoką złotnictwa inowacją w doborze przyrządów jest precyzyjna waga.





Złoto rozpłaszczone jest na wstęgi, które w następstwie ulegną pokrojeniu na kawałki kwadratowe określonego ciężaru. Narzędzia, służące do przygotowania złota do wyrobów, są, jak widzimy, dość prymitywne. Niektóre z tych tygli i instrumentów są identyczne z temi, jakich używano w zamierzchłych czasach. Odmienną jest zapewne prasa, służąca do prasowania arkuszy kruszcu w pakietach.

otrzymywania czystego złota, za pomocą procesu zwanego „cjankowaniem".

Przy udziale Transwaalu produkcja roczna złota zaczyna się gwałtownie podnosić, i już w następnym roku osiąga wartość 615 miljonów fr. zł. a w kilkanaście lat później, w roku przedwojennym, przekracza 3 miljardy!

Obecna produkcja trzyma się na poziomie 1 i pół miljarda, z czego jeden miljard dostarcza Transwaal.

Prawie cała ta produkcja znajduje się w rękach narodów anglo - saskich. Anglicy posiadają bowiem 70 proc. kopalni, a mają udział jeszcze w 10 proc. Amerykanie są panami złota w 14 proc. Obecnie ta hegemonja złota anglo - sasów zaznaczyła się jeszcze silniej z chwilą, gdy zaburzenia w Rosji i Meksyku usunęły prawie zupełnie oba te kraje z rynku.

Poza Transwaalem, kroczącym stale na przedzie w produkcji złota, najpierwsze miejsce zajmują Stany Zjednoczone i Australja, wykazujące jednak stałą zniżkę z roku na rok. Odwrotne zjawisko przedstawia kraj „nowy" — Kanada, którego znaczenie na rynku złotym wzrasta. W Rosji ze 185 miljonów, przedstawiających wartość produkcji w r. 1910 — ostatnie statystyki wykazują zaledwie 30 miljonów.

Złoto posłużyło tematem do tylu powieści i legend, że w umyśle przeciętnego człowieka zjawia się ono zawsze w aureoli demonicznego uroku, i, naturalnie, w pysznej szacie zewnętrznej. Prawda jednak znacznie odchyla się od fantazji.

Owe bryłki, zwane pepitami, z których każda stanowi cały majątek, nęcąca oko swym wiele obiecującym kolorem — spotykają się coprawda, aczkolwiek bardzo rzadko. Nie tak dawno w Kalifornji znaleziono taką pepitę, ważącą 60 kilogramów. Niemniej rzadkimi są owi przemywacze złota z opowieści Londona. Obecnie prawie cała ilość złota otrzymuje się z głębi ziemi w stanie siarczku żelaza, czyli pirytu, zawierającego minimalną ilość drogocennego kruszcu, bo zaledwie około 15 gramów na tonnę.

Eksploatację takiej kopalni np. w Transwaalu prowadzi się na bardzo dużej głębokości, dochodzącej do 2 kilometrów, w sposób zwykły, z wierceniem otworów ulepszonemi narzędziami pneumatycznemi, zakładaniem dynamitu, i wyciąganiem naładowanych na wózki kawałków skały na powierzchnię, przy pomocy ogromnej armji czarnych robotników, kontrolowanej przez europejczyków. Jednem słowem sposób zgoła prozaiczny, odarty z całej poezji awanturniczego żywota dawnych poszukiwaczy, kreacji Meyn-Reed'a.

Kawałki skały przedstawiają konglomerat, składający się z kawałków kwarcu, spojonych również kwarcowym cementem. Ten ostatni właśnie zawiera piasek złotonośny.

Po zmieleniu kamienia w specjalnych bębnach mechanicznych, otrzymany produkt poddaje się traktowaniu chemicznemu.

Jest ono dwojakiego rodzaju: amalgamowanie i cjankowanie. Zmielony na proszek produkt, zawierający złoto, zmieszany z wodą puszcza się wolno na stoły pochylone, pokryte srebrnym amalgamatem. Złoto zawarte w produkcie zostaje wtedy zatrzymane przez rtęć amalgamatu, a po zeskrobaniu go ze stołu i poddaniu amalgamatu złotego dystylacji — otrzymuje się w stanie masy gąbczastej, która po przetopieniu zostaje odlaną w foremki, jako czysty metal.

Znaczna jednak część złota przy tym procesie nie łączy się z rtęcią, i stanowi resztę piaszczystą t. zw. „tailings". Obecnie resztę tę traktuje się za pomocą cjanku potasowego, który nawet w słabym roztworze posiada własność rozpuszczania złota z łatwością.

Z takiego roztworu złotego otrzymuje się czysty metal drogą elektrolizy.

Własności złota, kwalifikowały go od najdawniejszych czasów, jako materjał do wszelakiego rodzaju kosztownych wyrobów. Wyroby te, pochodzące z przed wielu stuleci, zachowały swój nieposzlakowany wygląd, jak np. choćby ozdoby, wyjęte z grobu faraona Tutankhamena, podczas gdy inne przedmioty, wykonane z bronzu, spiżu, lub żelaza uległy niszczącemu działaniu wilgoci, gazów i powietrza. Ta odporność złota na nieubłagane wpływy czasu była niewątpliwie jedną z okoliczności, sprzyjających rozwojowi złotnictwa.

Drugą niemniej ważną przyczyną jest miękkość złota i jego podatność działaniu młotka i rylca.

Bardzo ważną też rolę odegrał stan, w jakim często znajdowano w starożytności złoto, t. j. samorodki jego, w ten bowiem sposób były wyeliminowane trudności, związane z wytopieniem metalu z jego rudy, trudności znaczne, z powodu braku wiedomości metalurgicznych u starożytnych ludów.

Znaczna gęstość złota (19,5 raza cięższe od wody) gwarantowała również wartość przedmiotów złotych, czyniąc podrabianie ich trudnem. Sprawdził to na własnej skórze niesumienny złotnik, który sfałszowawszy złotą koronę, przeznaczoną dla Herona z Syrakuzy przez dodanie lżejszego metalu, został zdemaskowany przez Archimedesa.

Wreszcie i temperatura topnienia złota — 1064 stopnie — nie była zbyt wysoką, aby uniemożliwić starożytnym złotnikom odlewanie drogocennego metalu w formy z gliny lub piasku.

Jest rzeczą godną uwagi, że zasadnicza praca przy przygotowaniu złota do wyrobów odbywa się wedle metod, stosowanych od wieków.

Płytki złote, zostają rozpłaszczone za pomocą koła na wstęgi, które są następnie pokrojone na kawałki kwadratowe, określonego ciężaru. Ostatnie zostają sklepane na marmurowym bloku do stanu cienkiej blaszki, poczem znów pokrojone na równe kawałki, i po powtórnem sklepaniu, włożone do marmurowych tygli, gdzie podlegają stopieniu na materjał do wyrobów.

Niektóre z tych tygli i innych narzędzi liczą po kilkaset lat i z pietyzmem są przechowywane z pokolenia na pokolenie.

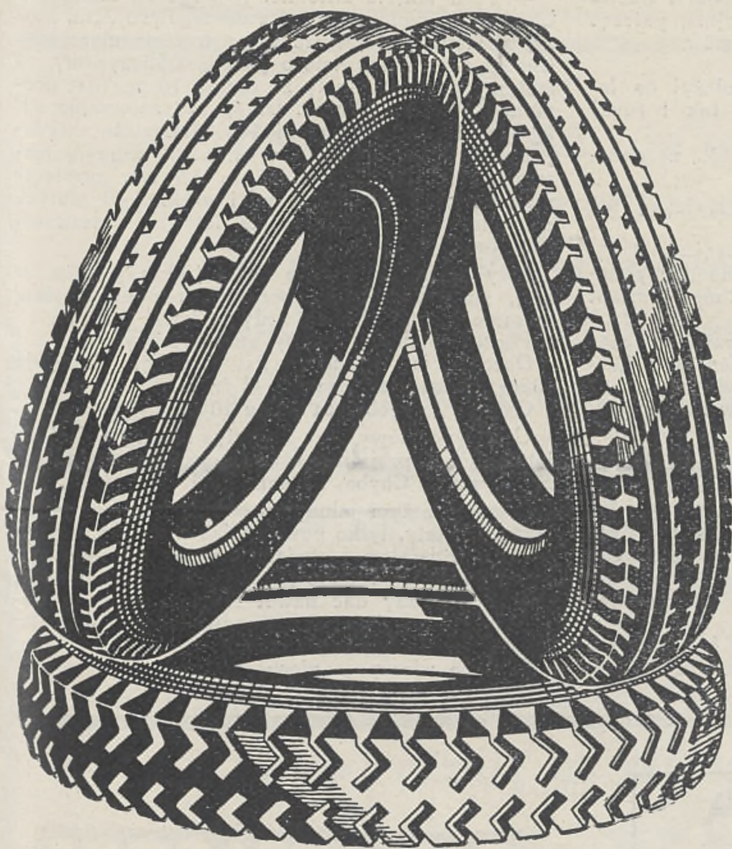
Kronika złotnictwa zawiera nie jedną świetną kartę. Błyszczą tam nazwiska mistrzów takich, jak Fidjasz w starożytności; Brunalesco, Della Robbin, Verrocchio, Ghirlandajo, Benvenuto Cellini i inni w świetnej epoce Odrodzenia.

W Polsce pierwsze wzmianki o złotnictwie spotykają się już w roku 1190 i dotyczą zakonnika Konrada z Kalisza.

Muzea europejskie zawierają liczne skarby sztuki złotniczej w postaci roztruchanów, dzbanów, gąsiorów, rzędów, diademów i t. p. nie mówiąc już o przedziwnie subtelnych i świetnie zachowanych, a wyrwanych wiekom, arcydzieł, rylca mistrzów starożytnego Egiptu, Fenicji i Ozyrji.

Poważany ten zawód liczył w szeregach swych nawet głowy koronowane, a między niemi królów naszych, Zygmunta Starego i Zygmunta III.

Z. K.



JERZY LEWESTAM.

10-groszowi pocztyljoni powietrzni

(wywiad z inżynierami Drzewieckim, Wigurą i Rogalskim, konstruktorami polskich awionetek).

Przybyłem na lotnisko cywilne w Mokotowie, celem dokonania wywiadu z młodymi inżynierami — Jerzym Drzewieckim, Stanisławem Wigurą i Stanisławem Rogalskim — dzielnymi pilotami i konstruktorami naszych awjonetek.

Na wywiadzie tym, wbrew utartemu frazesowi— „niech pan siada", od którego rozpoczyna się rozmowa, nikt nie prosił, bym usiadł, dla prostej przyczyny, że nie było na czem siedzieć, gdyż w górze świeciło jasne wiosenne słońce, a dookoła zieleniła się nieśmiałą, dziewiczą zielonością, murawa.

— — — — — — — — — — —

— Hallo, Stasiowie! — zawołał na mój widok inż. Drzewiecki. — Do wywiadu!

— Już się robi, Jureczku! — odpowiedzieli zgodnym chórem, śpiesząc na moje spotkanie.

— Wywiad?... Czem możemy panu służyć?

— Jak dawno zajmują się panowie konstruktorstwem lotniczem? — zapytuję.

— Od 7 lat. Zbudowaliśmy w tym czasie 3 szybowce bezmotorowe, 7 awjonetek J. D. E. (silnik Anzani 45 KM), awjonetkę S. P. 1 (idem), awjonetkę P. W. D. 1 (silnik ABC. 34 KM), 4 awjonetki R. W. D. 2 (silnik Silmson 40 KM), awjonetkę R. W. D. 3 (silnik Genet 75 KM) i 3 awjonetki R. W. D. 4, której przedstawicielkę ma pan przed sobą (silnik Cirus 100 KM).

— Bardzo piękny dorobek. Czy wszystkie te płatowce skonstruowaliście, panowie, sami? — pytałem dalej.

— Najzupełniej i to w najfatalniejszych warunkach, w podziemiach Politechniki. Dopiero teraz L. O. P. P. buduje warsztaty konstruktorskie na Okęciu, lecz dotychczas pracowaliśmy w zupełnie nienadających się do tego ubikacjach.

— Czy wszystkie awjonetki wykonali panowie już jako inżynierowie?

— Przedewszystkiem razem z kolegą Jerzym Wędrychowskim (obecnym prezesem sekcji, również pilotem) założyliśmy sekcję lotniczą studentów Politechniki Warszawskiej i pracowaliśmy jako studenci.

— Jak przedstawiały się sprawy subsydjów rządowych?

— Nie było ich wcale. Zawdzięczamy wszystko L. O. P. P. (Lidze Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej), która była dla nas najczulszą matką. Nawet teraz nasze nowe dziecię, awjonetka R.W.D. 4, korzysta z hangarów L. O. P. P.

— Co mogą panowie powiedzieć o sobie, jako o pilotach?

— Że latamy. Obecnie lecimy na tej awjonetce na międzynarodowy raid awjonetek do Berlina.

— Czy lubią panowie powietrze?

— Jakto, czy lubimy powietrze? — zapytał inż. Wigura.

— Zwyczajnie. Czy panowie lubią latać?

— To kapitalne! — śmiał się Drzewiecki. — Może pan nam odpowie, czy pan lubi latać?

— Owszem. Uważam samolot, jako doskonały środek komunikacyjny — odpowiedziałem z godnością.

— Ale nie pytam o to. Sztuka dla sztuki, lotnictwo dla lotnictwa, emocja dla emocji.

— Hm... emocja... — mruknąłem z powątpiewaniem. — Przyznam się panom, że latałem już sporo, lecz nigdy nie doznając specjalnej emocji.

— Ten szlachetny dziennikarz nigdy nie doznał powietrznych emocji — wtrącił Rogalski. — Wiesz co, Jurku, przewieź go kawałek.



Konstruktorzy polskiej awjonetki, panowie inż.: Rogalski, Wigura i Drzewiecki w rozmowie z przedstawicielem „7 Dni".

— Czy zgadza się pan? — zapytał Drzewiecki.

— Ależ chętnie, panie inżynierze.

— Doskonale. Chłopcy, szykować maszynę do startu.

Wywiad przerwał warkot silnika i w pięć minut po tej rozmowie, ulokowany wygodnie na przedniem siedzeniu awjonetki, startowałem z lotniska cywilnego na Mokotowie.

Boże! co to był za lot!

Awjonetka potoczyła się z szybkością 200 klm. na godzinę po miękkiej murawie lotniska i wzbiła się w górę. Chwilę płynęliśmy spokojnie, patrząc na niknące w dole kontury ludzi i domów.

— Cudowne! — pomyślałem.

Nagle płatowiec zachybotał się, położył na lewem skrzydle, zatoczył prawidłowy łuk i runął prosto na hangary.

— Już... katastrofa nieunikniona. Już... za chwilę będzie z nas marmelada...

Lecz nie. Dzielny pilot podniósł maszynę tuż nad dachem hangaru.

Naprzód! Pełny gaz! W górę, w górę!...

— Jakże miło mieć owe przebrzydłe dachy daleko pod sobą. Jakże miłe jest to słońce i nawet warkot silnika.

Ledwo to pomyślałem, warkot przycichł, maszyna stanęła dęba i wywinęła... jeden, dwa kozły... Ziemia, niebo, strona prawa, lewa, wir...

Lecz oto znów zaśpiewał silnik, znów lecimy spokojnie, równo.

— Acha — pomyślałem — to był zwyczajny looping.

Co się działo później — trudno opisać.

Teraz, kiedy siedzę na ziemi, twierdzę, że było cudownie. Tam, na górze — zdarzało się różnie. Skłamałbym, gdybym nie wyznał, że miałem chwile wahania. W każdym razie przestałem się uważać za wytrawnego lotnika.

Wylądowaliśmy z gracją, leciutko, bez żadnych wstrząsów, witając kordjalnie starą matkę ziemię.

— Jakże się pan czuje? — zapytał inż. Wigura. — Zdaje się, że nasz Jureczek wyhuśtał pana niezgorzej.

— Ddddoooosskkooonalllee! — odparłem z flegmą.

— Czy latanie może dać niekiedy emocję?

— Tak jest. Cudowne, wspaniałe emocje — dodałem pośpiesznie, obawiając się jakiegoś silniejszego argumentu.

— Jeśli tak, to świetnie. A teraz na nas kolej. Chcemy się panu zwierzyć z naszego projektu, który, niestety, jest jeszcze tylko w fazie nierealnej. Chodzi nam mianowicie o pocztę. Obliczyliśmy, że możemy przewozić listy za opłatą 10 gr. (list normalny, o wadze 20 gr.). Dalej... że zabierając 200 kg. poczty na przestrzeni 100 kilometrów, wydajemy 31 zł. na paliwo, 24 zł. na asekurację maszyny, pilot 50 zł. (za lot = 1,5 tys. miesięcznie), remonty 24 zł., 2 ludzi obsługi 40 złotych dziennie. Razem 196 zł. za lot na przestrzeni 100 klm.

Loty dalekodystansowe opłacają się jeszcze lepiej, gdyż asekuracja, personel, remonty zostają te same, a zwiększa się jedynie koszt paliwa.

Poczta funkcjonowałaby znacznie szybciej.

Obecnie, jak wiadomo, list zwyczajny kosztuje 25 gr., pocztą lotniczą (P. L. L. „Lot") 50 gr.

Chcemy to zrobić za jedne 10 gr.

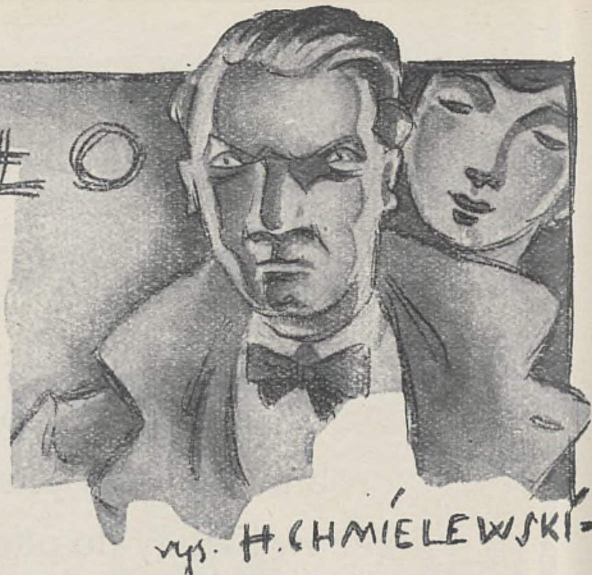
Urząd pocztowy ma, niestety, umowę z linjami lotniczemi i projekt nasz można uważać jedynie za marzenie. Chyba, że nam ktoś dopomoże...

Pomóc im, tym młodym polskim konstruktorom, mogę, niestety, tylko powtarzając wszystko, co słyszałem, widziałem i stwierdziłem. A pozatem mogę zapewnić, że latanie jest bardzo przyjemne i że potrafi niekiedy dać nawet ludziom pewnym siebie, że tak powiem gwarą nadwiślańską — „oblatanym" — bardzo wiele emocji.

Kto nie wierzy — niech spróbuje...

WIKTOR PRZECŁAWSKI

OSTATNIE DZIEŁO MALARZA KRZYWIŃSKIEGO



wyt. H. CHMIELEWSKI

(Dokończenie.)

A przecież to był chyba tylko sen, który się nigdy nie powtórzy. Nigdy. Będą mijały godziny, dni, tygodnie, miesiące i lata, a sen się nigdy nie powtórzy. Zaś pamięć pozostanie!

Jakżeż tak żyć?!

Zapomnieć! — wyszeptał rozsądek.

— Głupiś! — porwał się z otomany Krzywiński. — Ja nie chcę!

A czegóż ty chcesz?

Chcę by tu była!

Ha! ha! ha! ha!

Ale i Krzywiński roześmiał się triumfalnie: — Przecież ją mogę namalować!

I Krzywiński malował.

Nie można powiedzieć, że Krzywiński w czasie tego malowania był człowiekiem normalnym. Jeżeli nawet każda artystyczna twórcza praca nie jest pracą normalną, to praca naszego malarza była anormalną podwójnie. Przytem nie wyczuwał obecnie żadnych trudności technicznych. — Nie zastanawiał się nad niczem. Wszystko wiedział. W jego mózgu powstała jakgdyby nowa komórka, całkiem specjalna, zupełnie wyjątkowa. Na powstanie jej nie złożyła się żadna praca, nie była wytworem doświadczeń czy rozmyślań, nie była córką wiedzy czy nauki, a mimo to w chwilach pewnych była silniejszą od całego mózgu i od wszystkiej pamięci. Matką jej była godzina tajemniczego zwidziska, ojcem jej był piorunowy akt twórczy. Ale złe to było, niesforne i bardzo chciwe dziecko. Nie dość, że karmiło się krwią serdeczną serca, nie dość, że pomiatało pamięcią zdarzeń i wolą obowiązków, ale wpredce stało się wszechwładnym tyranem, rzucającym swe bezapelacyjne rozkazy o każdej porze dnia i nocy. Malarz schudł, sczerniał i ostatecznie zdziwaczał. Nieraz zrywał się wśród nocy i boso, w koszuli, drżąc z chłodu i wzruszenia, biegł do pracowni, zapalał wszystkie lampy i bez wytchnienia, z dzikiem, upornym zapałem pracował. To znów bez pożegnania i niegrzecznie opuszczał grono kolegów w kawiarni czy klubie, najmował dorożkę i pędził do domu. To kapryśne dziecko kazało mu pracować.

Czasem (zdarzyło się to zresztą dwa, albo trzy razy) budziła się dawna świadomość, i malarz ze zdumieniem spoglądał na własne dzieło.

Skąd się to wzięło?

Wiedział, oczywiście, wiedział. Takiego dziwnego snu nie zapomina się nigdy. Bo przecież to był tylko sen. Mary czy zjawy, duchy czy sobowtóry nie chodzą jednak po ziemi, i nie zjawiają się nigdy w głębinie zwierciadeł. Zwierciadło to szło, i jakżeż w tem szkle...

Do djabła! To był chyba tylko sen!

Hm... ale dziwny sen! Bo pocóż ja to tak zawzięcie maluję? Takiej kobiety zapewne niema na ziemi, a ja... a... ja....

I tu rozbijały się bezsilnie myśli Krzywińskiego. Uczuwał nagle, przyspieszone bicie serca, uczuwał dziwny żar w oczach i dziwny żar wokoło ust i tracił nowu panowanie nad sobą.

Przybliżał i oddalał się od obrazu, a oczu nie mógł oderwać. Nie, to nie było zwykłe dzieło, to nie była taka praca, do jakiej już od lat przywykł, ani takie „natchnienie", które mu również od lat było posłuszne. To było coś zupełnie nowego. Przedewszystkiem — tak, to przedewszystkiem — nie malował tego dobrowolnie! Następnie — cóż to za powiedzenie: malował? A nawet: tworzył? Jakaż to praca? To był zachwyt, tęsknota, szał i czar, lecz w tem wszystkiem nie było żadnej pracy. Zachwyt malował te usta, tęsknota wymarzyła te oczy, szał ten uśmiech zrodził, a czar stroił tę marę - kobietę.

Krzywiński patrzył i drżał.

Przecież te oczy, te oczy są żywe! Przecież w ich jasno - błękitnych otchłaniach grają blaski radości i pokus! Przecież patrzą weń z tajemniczem pytaniem, a może nawet z tajną, cudowną obietnicą! Te oczy żywe!

Wargi czerwone, gdyby świeża rana, przecięte stanowczym błyskiem równych, małych zębów, uśmiechają się oto czarownie i może — może mówić zaczną!

Stoi nieruchoma, jak bogini grecka, lecz w tych posągowych kształtach pulsuje gorąca, czerwona krew!

Gdzież jesteś, przecudowna? Oczy twoje w duszę mi się wświeciły niby dwie gwiazdy przewodnie, a gwiazdy te mi świecą nad otchłanią serdecznej tęsknoty! I pieśń szalona rodzi się w mem sercu, pieśń o szalonej chwili oszołomień, kiedy zachwytem się zapalą, ogniem staną oczy, pożarem serca nasze, a płomieniem dusze!

Gdzież jesteś, przecudowna? Czemuż ty nie znasz mojego serca?! Dlaczego nie wiesz, że serce moje targa się w tęsknocie i broczy żywą krwią, że dusza moja, kochająca słońce, dziś jeno o tobie śni, że stała się szaloną i dziką twoją niewolnicą?!

Za jeden twój pocałunek — niech śmierci tysiące! A za jeden twój uścisk — całych światów prochy! Tyś jest pieśń moja, życie, tyś mój kwiat i słońce!

Gdzież jesteś?

Kto tajemnie przysłał cię do mnie?! Kto zapalił w krwi mej pożar męki, i kto pożar ten ugasi, jeśli ciebie niema?!

...I usta twoje na ustach jej spłoną,
Serce przy sercu krwią swą oszaleje!
I oczy w oczach nadługo utoną,
I zmartwychwstaną najśmielsze nadzieje!

Płomyk szaleństwa płonął w jego mózgu. Nieprzytomnie, rozszerzonemi oczyma, wpatrywał się w cudną twarz namalowanej zjawy, i były sekundy, w czasie których wierzył, że zjawa ta przecież ożyje! Budził się z zimnym potem na skroniach, drżący i bezsilny, spalany żarem niesamowitej tęsknoty na popiół.

Jęcząc cicho z ustami wykrzywionemi bólem, wyciągał dłonie do obrazu. A potem biegł do sypialni, do lustra! Lśniło martwe i zwyczajne, a z tego zimnego blasku szczerzyła ku malarzowi żółte, suche zęby obojętna, okrutna codzienność.

A wreszcie, dnia pewnego nie mógł już malować. Bo cóż mógł malować? Obraz był skończony, wykończony, wypieszczony, cudny. Krzywiński rychło zrozumiał, że stworzył arcydzieło, lecz to go nie cieszyło. W najtajniejszej głębi swego „ja" poznał także, że nigdy już więcej nie będzie malował, a jednak nic go to nie obeszło.

Wogóle od dnia tego przestało go wszystko obchodzić. Nie malował, nie chodził nigdzie, tylko namiętnie czytał. Czytał zaś wyłącznie poezje.

III.

— Proszę pana, jest list.

— Do kosza!

— Ale proszę pana, to jest bilecik od tego pana, który z panem zawsze chodził. Już trzy razy dziś zachodził. Mówiłem, że pan nikogo nie przyjmuje

— Proszę dać ten bilecik.

Krzywiński czytał.

— Przyjacielu! Co się z tobą dzieje? Na żaden list mój nie odpowiedziałeś, zaproszenia moje rzuciłeś podobno do kosza, bój się Boga! Jeżeli jesteś chory, jeżeli przeżyłeś w czasie mej nieobecności jakieś nieszczęście, nie odtrącaj mojej przyjaźni! To, że się ożeniłem, nie dowodzi, że przestałem cię kochać. Słuchaj i zrozum: jestem ci druhem do śmierci szczerym zawsze. Nie odtrącaj mnie. Dzisiaj o piątej przyjdę wraz z żoną, by zabrać cię do nas na ucztę, przygotowaną na twoją cześć. Żona ma jest namiętną wielbicielką twego talentu. Pamiętajże, otwórz nam drzwi o piątej. Twój szczery, oddany, Strzeliński".

Strzeliński!

Tak, tak. Był taki. Włóczyło się to ze mną po knajpach, opowiadało różne anegdoty, i wreszcie ożeniło się i znikło z horyzontu!

Ależ nie — przypominał sobie z trudnością — ależ nie! Był z żoną we Włoszech, tak, podróż poślubna! I ta żona jest podobno namiętną wielbicielką mojego talentu!

Acha!

Kiedyż to on wyjechał? W marcu, tak, w marcu. A teraz jest przepiękny maj.

I nagle przypomniał sobie wszystko. Zawstydził się. Oczywiście, trzeba ich odpowiednio przyjąć, oczywiście.

Ubrał się więc tego dnia starannie, sprowadził wspaniały bukiet kwiatów (dla żony przyjaciela!), kazał zrobić porządek w pracowni. (Przecież będzie oglądała obrazy!). O Strzelińskim nie myślał, myślał tylko o niej. I myśląc o niej zasłonił jednak szczelnie ostatnie swe dzieło.

To przecie tylko moje, i niczyje więcej. Tylko moje.

Już o godzinie trzeciej, siedział Krzywiński w pracowni, z książką w ręku i cierpliwie oczekiwał. Wszystko gotowe było na przyjęcie gości. W jadalni stół nakryty, a na osobnym stoliczku wspaniały bukiet. W pracowni czysto, jasno, porządnie. Drzwi otworzy Michałowa, która dziś znowu gospodaruje w mieszkaniu. Wszystko w porządku.

Tylko ten niepokój, ten dziwny niepokój. Apatja przeszła, martwota się wyczerpała. Ożyły szarpiące tęsknoty, ożyły szalone, naiwne marzenia.

Przyjdzie godzina szczęścia, jak uniesień
Młodych powrotna, mknąca szumnie fala!

— — — — — — — — — —

Ty, coś pił dotąd tęsknoty napoje,
Wypijesz miłość czarą szczerozłotą!

Wieleż to ja mam lat — nieśmiało myślał malarz — tak, tak. To już późno! To tak coś, jakby październik... lada dzień... tak...

A cóż ja robię? Ona nie przychodzi! A co ja robię? Nie, dosyć tego, dość! Jutro wyjeżdżam! Może spotkam...

...kiedy serce twoje
Wierzyć przestanie...

A ja... no, chyba nie wierzę. Późno. Późno. Późno. Sam.

I Krzywiński pochylił głowę. Twarz jego w tej chwili bardzo się postarzała i na nowo przygasły oczy. Spokojny i chłodny na pozór, wstał i rozpoczął wolny krokiem wędrówkę od ściany do ściany. Chodził tak przeszło godzinę. Marzył o rzeczy zgoła niemożliwej, marzył o tem, żeby wróciła jasna, silna młodość. Za nią oddałby wszystko i sławę i pieniądze, i zaszczyty, i pracę. I, oczywiście, nie wierzył już w nic.

Punktualnie o piątej zajęczał cicho dzwonek. Krzywiński słyszał ciężkie kroki Michałowej, skrzyp drzwi, i zaraz potem wesoły głos Strzelińskiego.

Czekał. Nareszcie weszli. Pierwsza weszła żona i natychmiast oczyma spotkała jego oczy.

...Płomień jakiś zapalił się w jej oczach, żar buchnął na twarz i w sposób przecudowny rozchyliły się jej boskie usta. Postąpiła jeszcze jeden krok naprzód.

Krzywiński bez słowa, bez ruchu stał jak wrośnięty w ziemię.

Tak! To ona, to przecież ona!

Pociemniało mu w oczach, zaszumiało w głowie. Tysiąc błyskawicowych myśli rozdarło chaos zmęczonego mózgu. Z chaosu tych płomieni wirująca zrodziła się gwiazda, przewodniczka pragnień, marzeń i tęsknoty.

To ona! Moja!! Moja!! Kto śmie stać na drodze?! Precz! Zabiję! Zmiażdżę! Zaduszę! Ona moja!

Postąpił krok naprzód. Było w jego twarzy coś tak niesamowitego, że Strzeliński cofnął się mimowiednie i instynktownie zasłonił sobą żonę. Spostrzegł i to zaraz Krzywiński. Okrucieństwo i prawie zwierzęca wściekłość skrzywiły jego twarz wychudzoną. Postąpił jeszcze krok naprzód i nagle bez jęku, bez szeptu zwalił się jak kłoda u stóp stojących w przerażeniu.

Pękło mu bowiem serce.

Wilanów, październik 1924 r.

TO, TAMTO I OWO



Dzielna pilotka Lena Bernstein dokonała w ubiegłym tygodniu rekordowego lotu utrzymując się w powietrzu w ciągu 35 godzin 46 min. 55 sek. Niezwykły ten wyczyn został dokonany na 230-konnym Farmanie.

KRÓLOWA BRZYDOTY — MAŁGORZATA MAULTASCH.

W jednem z muzeów londyńskich znajduje się portret tak brzydkiej kobiety, że nie sposób wpatrywać się długo w jej potworne rysy. A jednak artysta, który portret ten wykonał miał zamiar skryć do granic możliwości nieprawdopodobne okrucieństwo przyrody, która stworzyła taki lapsus naturae, jaką była Małgorzata Maultasch, córka króla Henryka Tyrolskiego.

Na nizkim, kwadratowym korpusie chwiała się głowa kształtu jajowatego prawie, że łysa. Usta podobne do krwawej rany rozdzierały twarz na całą długość i odgięte wargi ukazywały żółte kły. Spłaszczony nos osadzony był w ten sposób, że tworzyła się zupełna asymetrja. W wązkich, czerwonych szparach świeciły małe żółtawe oczy. Opowiadają, że w dzień jej urodzin, król Henryk przywdział czarny strój, którego już nigdy nie zdejmował. Życie księżniczki było, mimo wszystko, pełne gwałtownych i tragicznych przejść, wywołanych jej wieczną i niezniszczalną tęsknotą za miłością. Już w dziesiątym roku życia poślubiła Małgorzata młodocianego Jana czeskiego. Ten aljans polityczny, wymagany przez króla Henryka jest powodem wiecznego smutku króla Jana. Upływają lata i pod wpływem widoku swej królewskiej żony Jan popada w rozstrój nerwowy. Lekarze z największą oględnością, drżąc z przerażenia przed gniewem królowej, oświadczają, że królowa powinna „bardziej dbać o swoje wdzięki, jeżeli jej zależy na życiu męża". Małgorzata rozumie sens dokładny wyroku lekarzy i z niezłomną energją stara się złagodzić swoją brzydotę.

W owym czasie, oczywista, Institut de Beauté były jeszcze nieznane. Natomiast co wieczór Małgorzata udaje się do czarownicy Katarzyny, zamieszkującej pieczarę między skałami górskiemi i poddaje się straszliwym praktykom. Katarzyna pokrywa jej twarz maścią z wysuszonych wężów i pomiotu owczego, operuje ją, przecinając niektóre ścięgna, zamyka jej nos w kleszcze. Wynik jest taki, że Małgorzata ma część twarzy sparaliżowaną i dnia pewnego znajdują Katarzynę ze sztyletem w sercu.

Następuje najstraszliwsza jednak epoka w życiu Małgorzaty, kiedy napół oszalały znachor oświadcza jej, że powinna pić krew dzieci. Cały Tyrol napełnia się obłędnem przerażeniem. Znajdują pastuszków z przerzniętem gardłem. Niemowlęta z przeciętemi żyłami konają w chatach chłopskich. Małgorzata zdobywa w opinji ludu urok szatański, sugestję zła i demonizmu. Widok jej mrozi krew w żyłach i budzi jednocześnie nieprzepartą ciekawość. Małgorzata posiada rzekomo zdolność urzekania. Słaby Jan poddaje się jej okropnemu wpływowi. Niemniej ulega jej dworzanin Gratien. I Małgorzata triumfuje.

Oto jednak dnia pewnego na dworze królewskim zjawia się cudownej urody hrabianka Flavon. Czar Małgorzaty pryska. Jan odrzuca ją ze wstrętem i z pogardą. Ucieka z hrabianką Flavon, zbiera wojska, chcąc usunąć Małgorzatę. Ale mściwa i energiczna królowa nie daje za wygraną. Za jej wyrokiem dobra Flavonów są skonfiskowane i oddane jej poplecznikowi, Gratienowi. Następują masowe aresztowania i stracenia domniemanych sprzymierzeńców Jana. Małgorzata uzyskuje rozwód i rozgramia spiskowców. I zawsze, i ciągle leje się krew strumieniami...

Jej wpływy i władza powodują margrabią Ludwikiem bawarskim, że zgadza się zostać jej mężem. Małgorzata wreszcie zostaje matką. Ale okrutne przeznaczenie nie opuszcza jej ani na chwilę. Dzieci jej giną. Jedno spada ze skały, drugie umiera na czarną ospę.

Następuje ostatni akt dramatu. Gratien, władający niezmiernemi dobrami Flavonów, prosi królowę, aby nie przyjeżdżała w odwiedziny do jego zamku. Ufny w swoją feodalną potęgę, oświadcza, że jej brzydota napełnia troską i smutkiem serce. Niechaj się oddali.

I oto Małgorzata pełna rozpaczy, opuszcza zamek królewski, zamyka się w górach zdala od ludzi i oczekuje lata całe śmierci, wpatrzona bez przerwy w zwierciadło, jakgdyby urzeczona własnym widokiem. Umiera pełna nienawiści ku ludziom — najbrzydsza kobieta na świecie.

Wśród książek

Aleksander Janowski — Warszawa (z cyklu Cuda Polski) — wyd. „Wydawnictwo Polskie" (R. Wegner) — Poznań, 1930.

Mówić o staranności, z jaką „Wydawnictwo Polskie" wypuszcza w świat swe książki, jest zbędne. Wszyscy o tem wiedzą. Monografja o Warszawie, która wyszła z pod pióra Aleksandra Janowskiego zasługuje jednak na specjalną wzmiankę. Istotnie bowiem praca ta zapełnia rażącą lukę, gdyż, jak słusznie zaznacza autor w swej przedmowie, więcej przyczynków o Warszawie pisano przed laty kilkudziesięciu, niż teraz, a prace, które ukazały się w druku nie odpowiadały potrzebie monograficznego ujęcia całości materjału. I choć skromnie o sobie powiada autor, iż bynajmniej nie miał zamiaru podjąć to zadanie bez współpracy kilku fachowców, potrafił jednak zebrać i barwnie przedstawić tyle interesującego materjału, iż praca jego zasługuje na szczególne wyróżnienie i wdzięczność tych wszystkich, co jak Aleksander Janowski głęboko umiłowali ojczysty gród — Warszawę.

Materjał obejmuje następujące działy: położenie geograficzne Warszawy, zaczątek miasta, Warszawa za Piastów, epoka Anny Jagiellonki, przeniesienie stolicy, mieszczaństwo warszawskie, pogrom szwedzki, Warszawa za Sasów, epoka stanisławowskiego odrodzenia, stolica po rozbiorze, walki o niepodległość, Powązki, teatr, muzyka, muzea, rezydencje królewskie, stolica w dobie obecnej, okolice podmiejskie.

Bogaty i umiejętnie dobrany materjał ilustracyjny, został dostarczony przez instytucje społeczne z Polskiem Towarzystwem Krajoznawczem na czele, a zdjęcia wykonane przez Henryka Poddębskiego, Feliksa Liszewskiego, Nofok-Sowińskiego, Władysława Sokołowskiego, Photoplat i J. Malarskiego.

Nie możemy wreszcie pominąć milczeniem pięknego wykonania graficznego książki — zarówno pod względem układu ilustracyj i rozmieszczenia tekstów, jak też samej techniki heljograwjury i druku.

ZOFJA DROMLEWICZOWA

Encyklopedja filmowa

Z.

(fot. Universal, Metro).

ZAWODOWY ALKOHOLIK

Jest to człowiek zwyrodniały. Znaki szczególne: drgawki ust i zamiary matrymonjalne. Alkoholik pragnie bowiem zawsze poślubić młodą, zdrową dziewczynę, która marzy o dorodnym młodzieńcu, a którą alkoholik oszukuje pozorami zdrowia i abstynencji.

Jednakże podczas uczty weselnej nie jest już w stanie utrzymać swego nałogu na uwięzi. Ku rozpaczy starego przyjaciela domu, wypija ukradkiem wszystkie butelki wina i zachowuje się nieprzystojnie. Jego młoda, niewinna żona patrzy podejrzliwie na wybryki oblubieńca, nie



domyślając się jednak okrutnej prawdy. Dopiero w sypialni, gdy podczas nocy poślubnej, alkoholik pomiędzy jednym pocałunkiem a drugim popija wódkę i szampana, którego ukrył przezornie pod poduszką, żona domyśla się wówczas strasznej prawdy: oto poślubiła alkoholika!...

Płacze więc niepowstrzymanym łkaniem, a alkoholik śpiewa spokojnie pijackie pieśni i nie zwraca na nią najmniejszej uwagi.

Alkoholik nie poprawia się nigdy. Własne dziecię karmi trunkami wyskokowemi i okazuje niesłychaną pomysłowość w przemycaniu alkoholu.

Życie alkoholika nie trwa na szczęście zbyt długo. Któregoś dnia, trzymając w ustach szyjkę butelki z węgierskiem winem, alkoholik umiera z pianą, na zwyrodniałych ustach...

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE
Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2.
Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję. L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.
Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.
Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1.200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.
Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe
Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.
Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)
Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.
Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Tel. 117-98 i 504-46.